

POLSKA WALCZĄCA

ŻOŁNIERZ POLSKI NA OBCYZYŹNIE

FIGHTING POLAND — WEEKLY FOR THE POLISH FORCES — PRICE TWOPENCE

Wychodzi co tydzień

Dnia 27-go lutego 1943r.

Rok V. Nr. 8

KOBIETA W WALCE

Od najdawniejszych czasów, skrytych głęboko w historii świata, od czasów, gdy tylko myśl człowieka zdała sobie sprawę z własnego istnienia, a jeszcze napewno i przed tym, gdy ludzkość była zdolna wyłącznie na działanie instynktu samozachowawczego — walka była przejawem życia.

Bez walki zdobywczej, walki ujarzmiającej wrogie siły natury a prowadzonej z nieustannym uporem instynktu, wspieranego później świadomą myślą, nie stałoby świat na dzisiejszym poziomie, wspinając się mozolnie po stopniach wieków. Ale też i nie stałoby na nim, gdyby owa uporczywa walka ludzi wznoszących się coraz wyżej nie była wspierana innym jej rodzajem: walką o zachowanie zdobytych osiągnięć.

Nie dosyć jest zdobyć — trzeba jeszcze umieć zachować i wyzyskać zdobyte. Stara to prawda, tak stara jak dzieje i tak znana, że nie wymaga dowodów.

Ale jest jej jedno ciekawe oblicze, nad którym warto się zastanowić. O ile walka zdobywcza była na przestrzeni historii prawie wyłącznie dziełem mężczyzn i tylko nieliczne kobiety brały w niej udział, o tyle jeśli idzie o walkę zachowawczą, obronną — udział kobiety jest w niej znaczny. Gdyby uogólnić w najszerszych ramach to zagadnienie, to kobieta dąży raczej do utrzymania, zachowania, otoczenia opieką tego, co ma i co jest najbliższe, a więc domu i rodziny przede wszystkim — i rozwija te uczucia na większą skalę społeczną, wznosząc się na wielkie nieraz wyżyny osobistego poświęcenia; dopiero w obronie tych swoich świętości potrafi walczyć zaciekle i z najwyższym uporem.

Rzeczą mężczyzny jest zdobyć, sprawą kobiety — zachować. Mężczyzna jest niejako dostarczycielem tworzywa i surowca — kobieta zdobyte przetwarza, urabia

i w miarę potrzeby broni, a jeśli potrzeba obrony jest wielka i przetrasta siły, razem z broniącym mężczyzną oddaje życie.

Przeglądając historię karta po karcie można znaleźć setki dowodów na potwierdzenie tej prawdy. Joanny d'Arc czy Emilie Plater nie stanowią tu wyjątku; przeciwnie, potwierdzają, że skarb narodu — niepodległa ojczyzna — jest dla każdej tego narodu części, a więc i dla kobiet, najistotniejszym warunkiem życia. Walczyć dla odebrania ukochanej wspólnej własności, dla zachowania swoich praw dla przyszłych pokoleń, jednym słowem walczyć dla swoich dzieci w najszerszym pojęciu — oto co kobieta może i potrafi na równi z mężczyzną. Czy potrzeba przykładów aż nadto dobrze znanych?

Ta rola obronna kobiety przybierała najrozmaitsze oblicza i nabrała różnego wyrazu w zależności od warunków i potrzeb chwili. Najwyższym, lecz nie najważniejszym jej wyrazem była walka z bronią w rękę, wraz z mężczyzną, w obronie zagrożonych miast czy granic. Równie ważna, choć ukryta i nie tak efektowna, drobniejsza i ciężka — to praca nad duszą pokoleń, nad utrzymaniem narodowego serca i ducha, którą tak skutecznie prowadziły nasze babki i matki w okresie niewoli.

Inną bronią i innymi metodami posługiwały się w zmienionej sytuacji wielkie i skromne, znane i nieznane społeczniczki minionego okresu niepodległości. A przecież i tu — w żmudnej pracy kobiet-pedagogów, kobiet-lekarzy, sędziów czy inżynierów chodziło zawsze o ten sam cel, dla którego warto poświęcić wszystkie siły: o sprawiedliwość i wychowanie społeczne, o zdrowie i warunki bytu dzieci i młodzieży, najbliższej zawsze kobiecie sercu, a także o równomierny podział praw i dóbr społecznych.

Weźmy do ręki broszurę Zofii

Zaleskiej p.t. "Wieczna warta." Czytamy tam z nieślabnącym zainteresowaniem o wysiłku polskich organizacji i związków kobiecych, widzimy szereg działaczek pracujących samodzielnie, które całą swą wiedzę i serce kładły w dobro ogółu. Postacie takie, jak s.p. dr. med. Zabawska-Domosiławska, która "była lekarzem i żołnierzem. Leczyła z zamiłowaniem, z powołania, nie mogąc znieść cudzego bólu, krzywdy, nieszczęścia. Walczyła przez całe swoje życie, nieustępliwie, wytrwale, bez kompromisów." I dalej wymieniane tylko z imienia lub posiadanych stopni naukowych inne lekarki, nauczycielki, prawniczki. Przewijają się na kartach tych książeckich ich dzieł, czynne, pełne wiedzy i inicjatywy. Sama Zabawska zginęła pod bombami ze swymi rannymi.

A przecież to część tylko — takich było dużo, dużo więcej. Ich praca samodzielna i zespolona — to była też walka. Walka zachowawczo-ochronna, a zarazem twórcza — o stan posiadania kobiety Polki i obywatelki.

Nic się nie zawałilo i nic nie przepadło z tej postawy kobiety walczącej w naszej chwilowej klęsce. Krew kobiet, która gorącymi strugami oblała bruki Warszawy, to krew z najgłębszego dna serca, oddana w OBRONIE ukochanego domu. Historyczne już dziś butelki z zapaloną benzyną były rzucane na niemieckie, najzłotoczone kobiecym ramieniem, ruchem, który pragnął się dopełnić w ruchu — utlenienia najdroższej główki dziecięcej. Osłonił je, nie dał, za cenę życia nie dał tych ciał i duszyczek swego narodu! Ich wolności i prawa stanowienia o sobie, ich polskiego słowa i piosenki, ich ziemi i tradycji. Ich i swojej Ojczyzny.

Każdy ruch kobiety w tych strasznych chwilach, na ziemi od granicy do granicy objętej śmiertelną grozą, był ruchem ratunku

i obronnej walki — czy był chwyceniem za karabin lub za wiadro do gaszenia pożaru, czy gdy nakładał opatrunek na ranę, czy nawet gdy podawał kubek kawy głodnemu żołnierzowi.

Bronić — poprzez rozpacz i beznadziejność. Bronić do końca, Walczyć!

Tysiące nieznanych bohaterów, tysiące nieznanych nazwisk.

Bronisława B.W. wspomniana w "Wiecznej warcie" to symbol tych bezimiennych i niezliczonych o których się może nawet nie do wiemy. Myśle, że w odzyskanej Ojczyźnie, gdy odbudujemy i zaleczymy wszystko, powinien przyjąć czas, gdy obok grobu Nieznanego Żołnierza stanie pomnik Nieznanym Kobiety Walczącej.

Trwały straszne tygodnie. Inne ceły stały przed ludnością Polski po zajęciu jej ziem. Trzeba było ratować cenne życia mężczyzn, uciekających za granicę — ręce i głowy, które będą walczyły dalej za sprawę — ukrywać, prze prowadzać. Przenosić ważne listy i rozkazy. Czuwać.

Stały do tej pracy znów, wśród innych, kobiety i dziewczęta, uczennice, P.W.K., harcerki. Niejedna taka "Baśka K. z drużyny wartowniczej" padła na granicy rumuńskiej czy węgierskiej.*

A potem trzeba było ponosić odpowiedzialność wobec wrogów za uczestnictwo w upartej walce podziemnej. Mimo bicia do utraty przytomności i tortur psychicznych po więzieniach i na śledztwach — nie zdradzić, nie przyznać się do kontaktów konspiracyjnych, zachować narodową godność.

Bezsilne rece, zaciśnięte w pięści, zware zęby i błysk nienawiści w oczach — to była też walka. Wygrała ją wiele z nich.

I jednym pasmem walki o życie *Patrz "Wieczna warta" Z. Zaleskiej.

i wszystko co stanowi jego istotę dla człowieka i narodu były okresy zesłań na Północy, Wschodzie i dobrowolne, a w największym trudzie podjęte pielgrzymki kobiet z cofającą się Armią na zachodzie Europy.

"Żadna z tych kobiet polskich — pisze dalej p. Zaleska — które tak po prostu podejmowały prace konspiracyjne, jak naturalnie pracowały w czasie wojny, żadna z nich nie zastanawiała się ani chwili nad drogą, jaką iść trzeba ku wyzwoleniu Ojczyzny."

Dobrze dziś wiemy o tym, że najtwardsza, najbardziej szlachetna walka w Polsce trwa. Aż za poełnie wiemy, jaki jest jej męski charakter. Nie ka dy na emigracji miał w ręku raporty z kraju, które zdają się oczekiwać krwi żywej i wołają jednym jękiem o pomstę, ale wystarczą tylko wiadomości z prasy codziennej, abyśmy czuli sercem na tragiczniejsze lzy, które tam płyną i podziemną lawę rozżarzonego czynu.

Całe społeczeństwo zmartwiałe i zastygłe na powierzchni — goręje wewnątrz. I czeka. CzeKa z fanatyczną Chrystusową wiarą w zwycięstwo sprawiedliwej sprawy: czeka w zaciętej bierności, gdy komu już siły zabrakło i w szynie bezgranicznego bohaterstwa, gdy kto jeszcze siłę zachował. Całe społeczeństwo, a więc i kobiety.

I jeśli po tych krwawych latach dowiemy się o naszych nowych Emiliach Plater, aby imiona ich ze czcią największą wyręć na pomnikach, to pamiętajmy, że stały za nimi, jak to u największych leż utkane, bezimienne, nieznane tłumy serc kobiecych walczących — o każdy dzień i każdą godzinę życia swoich najbliższych — o życie całego Narodu.

Myślimy dziś o tym. Zwłaszcza my — kobiety na emigracji.

HALINA TERLECKA

PRZYSZYWAMY POLAND'Y DO BATTLEDRESS'ÓW

Mój znoszony, niebieski mundur PCK — idzie na emeryturę. Siadłam więc dziś przy kominku by przyszyć "Poland'y" do "battledressu." Snuje się czerwona nitka, snują się wspomnienia.

"Poland" ... Polska ... To było w sierpniu 1939 roku. Stałam w tłumie warszawskich kobiet, które zgłosiły się do służby wojskowej. Nie umiałam pracować. Nie miałam "fachu," ale miałam nadzieję, że mogę być użyta w szpitalu, w fabryce lub jako szoferka.

Tłum kobiet rósł. Przede mną stały: dziewczyna od krawcowej, dentystka i pani w kapeluszu od "Cecylii," co stwierdziłam nieomylnym okiem. Dokola inne kobiety: rozprawiły głośno a zapalczywie, że wojna musi być, że podobno na granicy Niemcy palą polskie wieś i miasteczka, że my, kobiety obowiązane jesteśmy stanąć ramie w ramie z żołnierzem, że nasza polska cierpliwość została wyczerpana, i że w ogóle już dość.

Trochę mnie bawiło, trochę dziwiło to "ramie w ramie," ale czułam podobnie: że już dość. W kilka dni później, miałam się przekonać, że dla polskich kobiet to "ramie w ramie" nie było pustym dźwiękiem.

Następnego dnia w cichej uliczce, prowadzącej od Placu Trzech Krzy-

ży poznałam panią w kapeluszu od "Cecylii." Wyciągnęła do mnie rękę:

"Jestem Maria Modzelewska — powiedziała — będziemy koleżankami po kierownicy. Nareszcie jakiś porządek i organizacja."

W komendzie PWK otrzymaliśmy kluczyki od samochodów, tymczasowe legitymacje i polecenie dowożenia żywności na dworce. Tak weszliśmy wszystkie w "oko cyklonu." Na torach kolejowych pod Warszawą stały długie pociągi uchodźców z Gdyni, Gdańska i pogranicznych w'osek, spalonych przez Niemców. Było wielu rannych. Wojna — ciągle jeszcze nie była rozpoczęta.

Pierwsze bomby spadły na Warszawę w parę dni później. Tempo pracy wzrosło. Pracowałyśmy nocami. W PWK zaciąg kandydatek trwał dalej. Grupy zgłaszających się segregowano i kierowano odpowiednio — do szpitali, punktów żywnościowych, opatrunkowych i t.p.

Trudno na tym miejscu opowiedzieć o poświęceniu i odwadze tych kobiet. Nie potrafię opisać atamentem tego co zostało napisane krwią. Przed oczami przesuwa się sylwetki tych cichych bohaterów, nikomu nieznanym z nazwiska. Weszły do mego życia jakimś słowem, spojrzeniem, czynem — tak zdawałoby się niezmiernie

prostym — i żyją w nim, choć przez te lata, tysiące ludzi minęło niepostrzeżenie. Widzę je wszystkie wyraźnie.

Stara szewcowa czołga się podczas nalotu przez plażę warszawską, by dotrzeć z prowiantami do żołnierzy obsługujących baterię koło mostu Poniatowskiego.

Na dworcu ginie śliczna pani "na posterunku", i natychmiast na jej miejsce zgłasza się kilka innych.

Uczennice gaszą pożary, dziewczyna w mundurze PWK ranna doczołgała się z rozkazem do wysuniętej placówki.

Kobieta-doktor operuje podczas nalotów, słabe ręce dzwigają belki zawalonych domów, wydobywając przysypanych rannych, gęstnieją szeregi kobiecych sylwetek, mnożą się narastają, jest ich już dziesiątki, setki, tysiące, setki tysięcy ... Polska ... "Poland" ...

Zerwała się czerwona nitka ...

Minął wrzesień. Za tamtymi ludźmi i sprawami zatrzasnęły się jakieś ciężkie drzwi. Zostaliśmy nazewnątrz.

Z poza tych drzwi, dochodziły nas głosy, że Polki w myśl tej "zabawnej" zasady: ramie w ramie — zaczęły się skupiać, organizować, choć tym organizacjom w ogromnej wię-

szości wypadków na imię było: śmierć.

We Francji — gromadka kobiet podjęła pracę, która miała pozwolić Polkom na emigracji na dotrzymanie kroku umundurowanym ochotniczkom angielskim, amerykańskim i innym. Miały uchwycić i docenić historyczny moment, gdy w wojnie przeciwko złu narody sprzymierzone mobilizowały całą siłę swoich społeczeństw, włącznie z powołaniem do pracy wojskowej — kobiet.

Tej właśnie konsekwentnej pracy w ciągu tych lat, zawdzięczamy, że i na tym polu nie zostaliśmy w tyle za innymi narodami. Niebieskie mundury PCK i zielone YMCA i Czołówek zapelnily powoli wszystkie dostępne placówki: szpitale, przychodnie, świetlice, kantyny, ambulanse i t.p.

Stały się pożyteczne, potrzebne, niezbędne.

W Wielkiej Brytanii w grudniu 1942 roku ukazało się rozporządzenie, mocą którego została utworzona Pomocnicza Wojskowa Służba Kobiet. Ale obok litery prawa — Minister Obrony Narodowej w swym apelu do kobiet polskich na emigracji — powiedział:

... "W tym wielkim wysiłku za-

damy waszej pomocy. Liczymy na nią ... nadeszła chwila, kiedy potrzebujemy tysięcy waszych rąk ..."

Po raz pierwszy w historii polskiej Minister Obrony Narodowej zaapelował do Polek. Jesteśmy potrzebne. Zawołano nas, byśmy spełniły nasz obowiązek, byśmy choć częściowo wyrównały nasz dług wobec Kraju.

Takiego apelu nie wolno pozostawić bez odpowiedzi. Po tak m apelu nie ma już miejsca na słowa. Taki apel — to więcej niż rozkaz, niż obowiązek.

Gra i tak nie jest równa. Podczas gdy stawka tamtych w Polsce jest życie, a codziennym chlebem jest cierpienie, głód, więzienie, śmierć — my stawiamy na kartę tylko naszą pracę, w wygodnych warunkach, bezpieczne, umundurowane, WOLNE.

Przepelnia mnie dumą i radość.

JANINA WOYCIECHOWSKA

PRZEPRAWY W TUNISIE

Wojska niemieckie w Tunisie — niewiadomo pod czym dowództwem, albowiem Rommel ma podobno przebywać na froncie rosyjskim — przeszły do uderzenia i uzyskały wstępne sukcesy. Siły amerykańskie, w które uderzyły czolgi niemieckie, ustąpiły pod naciskiem wroga. Jak donoszą pisma angielskie, bombardywy nurkowe wyrządziły szkody wśród czolgów amerykańskich. Skoro nurkowce miały pole do popisu — wywodzi sprawozdawca lotniczy "Sunday Times", Peter Masefield — to znaczy to, iż Amerykanie nie posiadają odpowiedniej liczby myśliwców. Korespondenci z pola walki zaznaczają, że wojska amerykańskie są stosunkowo "zielone" i że w starciach z niemieckimi wyłamami wojennymi musiały przegrać. Prasa amerykańska nie ukrywa niezadowolenia: zarówno prasa jak i amerykańskie koła urzędowe są zniechęceni dla tej młodej demokracji szczerocią jakże godną naśladowania — powiadają, że porażka jest poważna i że nie ma co ukrywać, iż sytuacja jest niemiła.

Generał Alexander objął kierownictwo działaniami w Tunisie a armia 8-a naciera na wroga coraz ostrzej. Jest ona dzisiaj na przedpolu linii Mareth i przez zajęcie wyspy Dżeba zagraża poważnie od strony wschodniej całej niemieckiej linii obrony. Wydaje się, że armii 8-jej przypadnie w udziale decydująca rola w tej ciekawej walce. Jeżeli zwycięstwo przyniesie, to wspaniały pokaz siły.

Przypuszczać należy, że armia 8-a pokaże zęby. Winną się ona spieszyć, aby dobrze służyć Niemcom do skóry, zanim ich zagony ku liniom amerykańskim staną się zbyt poważne. Przyczółek tunetański nie będzie zapewne orzechem łatwym do zgryzienia. Generał Catroux, który przebywa obecnie w Afryce płu. jako łącznik między generałem de Gaulle a generałem Giraud, zaznaczył w wywiadzie prasowym, że "w dwa miesiące Tunis winien być nasz." Nie wiemy, czy przepowiednia ta się ziści.

Sprawozdawca wojskowy "Sunday Expressu" / dnia 21-ego lutego / powiada, że należy się liczyć, niestety, z opóźnieniem się terminu inwazji Europy, albowiem dopóki Tunis nie zostanie wyczyszczony, nie można podjąć tych działań. Nie wie-

my, czy pogląd taki jest w pełni słuszny. Doniesienie niemieckie — przy pomocy różnych rzekomo niezawisłych lub neutralnych agencji prasowych jak Międzynarodowa Agencja Informacyjna, czy Agencja Skandynawska — wskazywały kilka dni temu, że uderzenie sojusznicy może wyjść nie tylko z Afryki, ale że koncentracja barek inwazyjnych oraz oddziałów spadochronowych w okolicach Palestyny i Syrii mówi, iż uderzenie z tamtej strony jest również możliwością.

"Scrutator" w swoim artykule w "Sunday Times" z dnia 21-ego b.m. powiada, że porażki Amerykanów w Tunisie opóźniły niestety działania na tym ważnym odcinku. Co do tego nie ma dwóch zdań — trzeba zrobić wszystko, aby naprawić te niepowodzenia i ażeby przez szybki napływ sprzętu wyrównać braki. Najważniejsze braki to bodaj pościogowce oraz ciężkie czolgi / Niemcy mają w akcji swoje Mark VI o wadze 53 ton / . Peter Masefield zaznacza słusznie w cytowanym już artykule, że Niemcy utrzymują stałą strugę dopływu samolotów z Sycylii i Włoch, podczas gdy sojusznicy nie mają odpowiedniego zaplecza lotniczego.

TOTALNA MOBILIZACJA W RZESZY

Sprawozdawcy pism neutralnych / których pilne studiowanie jest dzisiaj rzeczą nieodzowną dla uzyskania możliwie przybliżonego obrazu położenia w Europie / — donoszą, że

tematem rozmów całej Rzeszy jest nie tyle wojna, ile mobilizacja totalna. Korespondent berliński pisma "Svenska Dagbladet" donosi dnia 17-ego b.m., że partia dokonała całkowitej mobilizacji swoich sił i że Goebbels uzyskał nową bardzo roz-

ległą władzę. On też wypowiedział mowę w Sportpalast, mowę, która otwiera niewątpliwie kampanię totalnej mobilizacji.

Dziennikarze szwedzcy wskazują, że Rzesza zamienia się w jeden obóz wojenny. Zamyka się sklepy, restauracje znikają, siły kobiece zapędza się masowo do fabryk, najstarsze roczniki idą pod broń dla strzeżenia obiektów, urzędnicy idą do fabryk broni. Ci dziennikarze neutralni, którzy znają Rosję sowiecką zaznaczają, że Rzesza stara się dokonać tego, czego dokonała Rosja sowiecka na wstępie tej wojny. Znany dziennikarz szwedzki Gunnar Müllerer pisze na łamach "Aftonbladet" z dnia 15. b.m., że w Rzeszy znikają podziały społeczne, że niwelują się ostateczne klasy i że Niemcy zaczynają przypominać państwo jednoklasowe, państwo robotników wojennych, gdzie prawa własności prywatnej zaczynają znikać i gdzie jednostka traci resztki przywilejów, jakie się zachowały.

Trzeba sobie zdać sprawę, że Rzesza dokonuje olbrzymiej próby — czy jak chce Gunnar Müllerer — "rewolucji", która ma na celu wydobycie ostatnich sił ludzkich i rezerw z narodu niemieckiego. Wszystko to odbywa się pod hasłem: "śmierć albo zwycięstwo", "nie mamy już wyboru", i innych wywieszek, przygotowanych przez ministerstwo propagandy Rzeszy.

Rzesza oczekuje — jak można wnioskować z prasy niemieckiej — że potrafi zmobilizować do lata b.r. jakieś 3 miliony ludzi dla frontu wschodniego i że uderzy w lecie. Ale nie bardzo jakoś wydaje się to możliwe. Nawet jeżeli istotnie Rzesza potrafi wydobyć jeszcze 3 miliony ludzi, to jakoś tego żołnierza nie będzie już dobra. Nawet jeżeli Rze-

sza wyprodukuje sprzęt do lata, to nie będzie to sprzęt najlepszy, gdyż robiony pośpiesznie. Nawet jeżeli przywróci dawnych generałów jak von Halder czy nawet von Bock, to jeszcze nie znaczy, ażeby wojska niemieckie zdolne były do skutecznej ofensywy.

Jest rzeczą znamionną, że prasa niemiecka oraz rozgłośnie Trzeciej Rzeszy operują dzisiaj pojęciami — wroga. Mówi się więc, że przestrzeń zaczyna teraz grać na korzyść armii niemieckiej, że wojska niemieckie unikają okrążenia i wycofują się, aże będą mogły odpowiednio uderzyć. Najwidoczniej sztab niemiecki, którego losy są niepewne, albowiem nie wiemy, jakie nowe siły zostały tam powołane — liczy na wciągnięcie pewnych sił sowieckich przez cofanie się, może przewiduje utrzymanie takiej czy innej linii obrony, ale jakiej? Czy linii Dniepru, która może być sforsonowana lada dzień, jeżeli uda się uderzenie sowieckie w kierunku Dniepropetrowska — przecięcie rzeki — czy też dalej na t.z.w. linii Moltkego, a więc w oparciu o bagnia i błota Prypeć?

KU POŁTAWIE

Wojska sowieckie w dniu 25-cielca swojego powstania mają do zanotowania nowe sukcesy. Zbliżają się one dzisiaj do Połtawy, gdzie ongiś król-awanturnik, Karol XII ponosił klęskę, ku Orłowi, ważnemu spojeniu frontów środka i południa i ku Dnieprowi. Celem marszu sowieckiego jest odesobnienie Krymu i uzyskanie takich postępow na północ, by front północny musiał się ruszyć.

Komunikaty niemieckie powiadają, że odwilż już się zaczyna, ale raczej wydaje się, że jest to chwilowa zmiana w pogodzie. Poważnej od-

nych min. Raczynski złożył sprawozdanie na temat obecnych stosunków polsko-rosyjskich.

19 lutego: Pod przewodnictwem prezesa Rady Ministrów gen. Sikorskiego odbyło się posiedzenie Rady Ministrów, na którym zajmowano się sprawami polsko-sowieckimi.

— Polskie samoloty myśliwskie patrolowały brzegi W. Brytanii. Spotkanie nieprzyjacielskie samoloty myśliwskie uchyliły się od walki.

20 lutego: W nocy z 19/20 polskie dywizyjny bombowce brały udział w silnym nalocie na Wilhelmshaven. Jedna załoga polska zmuszona była wodować, została jednak wyratowana.

Szkiec sytuacyjny

Z tygodnia na tydzień

15 lutego: Polskie dywizyjny bombowce w nocy z 14/15 bombardowały Kolonie. Wszystkie załogi polskie powróciły.

— Polskie dywizyjny myśliwskie osłaniały wyprawę bombową. W czasie tej akcji doszło do spotkania z myśliwcami niemieckimi. Polscy piloci stracili napewno dwa Focke-Wulf-190, a trzeci prawdopodobnie. Wszystkie samoloty polskie powróciły do bazy.

— Naczelnik Wódz przyjął admirała Sir G. B. Dickens, ustępującego oficera łącznikowego między Admiralicją a sprzymierzonymi marynarzami wojennymi. Następcą adm. Dickens mianowany został admirał E. L. S. King.

16 lutego: Czerwona Armia wkroczyła do Charkowa.

— Polskie dywizyjny myśliwskie przeprowadzały zadanie wymiatania nad terenem północnej Francji. Do spotkania z nieprzyjacielem nie doszło. Wszystkie samoloty polskie powróciły.

17 lutego: Polskie dywizyjny myśliwskie przeprowadzały zadanie wymiatania nad północną Francją. Do spotkania z lotnictwem nieprzyjacielskim nie doszło. Samoloty polskie powróciły szczęśliwie.

18 lutego: Na tajnym posiedzeniu komisji spraw zagranicznych Rady Narodowej R.P. kierownik Ministerstwa Spraw Zagranicz-

JESZCZE O WOJNIE PODWODNEJ

Generał Sir Douglas Brownrigg w "Evening News" pisze: "Co za paradoks! W czwartym roku wojny Niemcy zmuszone zostały do defensywy na lądzie i w powietrzu — to znaczy w obydwu elementach, w których przodowały od początku, posiadając wszelkie za przewagi wypływające korzyści. I szukają teraz rozwiązania w ofensywie morskiej — to znaczy w elemencie, gdzie poęga Wielkiej Brytanii i Ameryki zawsze dominowała."

Tyle gen. Brownrigg. Ale ze słów tych płynnie głęboka i raz jeszcze potwierdzona prawda, że nie można — nawet dziś, w dobie szybkiebojeńskich środków walki, podjąć morza potęgą lądu. To też nadzieje Hitlera na sforsowanie rozstrzygnięcia drogą wojny podwodnej — są conajmniej spóźnione. I nawet duże straty zadane Sprzymierzonym nie zmienia już nic w fatalnych wyrokach losu.

Ostatnia nadzieja Hitlera — admirał Doenitz — wypowiedział

wprawdzie wiele pięknych słów: 1/ Dowódca, że okręty podwodne mogą wygrać wojnę same. Dla nas nie ma nic niemożliwego. 2/ Samolot nie może zabić okrętu podwodnego, tak jak kruk nie może zabić kreta. 3/ Okręty nieprzyjaciela muszą być zatopione. Losy Niemiec zależą od tego. 4/ Cała marynarka niemiecka przejdzie w służbę wojny podwodnej. Wojna ta będzie prowadzona bez ograniczeń, nieubaganię, aż do zniszczenia nieprzyjaciela...

Ale w rzeczywistości sprawy przedstawiają się nieco inaczej: 1/ Okręty podwodne nie mogą wygrać wojny bez współdziałania sił nawodnych i powietrznych. Nawodne siły niemieckie nie mogą mierzyć się z flotami sprzymierzonymi, a powietrzne znajdują w górze groźnego dla siebie przeciwnika. Zresztą te ostatnie mają w tej chwili dużo do roboty z ratowaniem sytuacji "osi" gdzie indziej.

2/ Ze samoloty mogą w pomysłnych warunkach niszczyć okręty podwodne, a w każdym razie utrudniać w dzień ich działania, świadcza ostatnie działania "Coastal Command" wokół Anglii, w Zatoce Biskajskiej i na Morzu Śródziemnym. /Lotnictwo polskie brało w nich udział. / Zaś samoloty w połączeniu z korwetami, kontrtorpedowcami i ścigaczami — są już bardzo groźne.

3/ Ilość zatopionych statków sojusznicznych nie wzrasta, rośnie natomiast przeciwdziałanie Sprzymierzonych na wodzie i w powietrzu. Rośnie też, a nie spada, tonaż handlowy Sprzymierzonych, dzięki udoskonaleniu budownictwa okrętowego. W ostatnim swym przemówieniu Churchill oświadczył, że w ciągu półrocza zbudowano 1,250,000 ton więcej niż stracono.

4/ W ubiegłej wojnie — gdy zabrakło ochotników — dowództwo niemieckie usiłowało też przetrzeć z "urzędu" załogi okrętów nawodnych na podwodne. Dało to fatalne rezultaty. Marynarz przyzwyczajony do stosunków o komfortowym bytowaniu na krążowniku, z trudem oswaja się z ciężką i bardzo niebezpieczną służbą na okręcie podwodnym. W każdym razie rzadko kiedy staje się pełnowartościowym "podwodnikiem". Trudno przypuszczać, aby w czwartym roku wojny Niemcy znajdowały wielu entuzjastów do tej służby. Przytem zużycie sprzętu i zmęczenie personelu też stanowią poważny ciężar.

Reasumując, niebezpieczeństwo wojny podwodnej istnieje i to poważne... Ale "trzeci element" nie da Hitlerowi zwycięstwa tak samo, jak mu go nie dały oba poprzednie. Na trzy miliony żołnierzy brytyjskich, przewiezionych przez morze, zginęło tylko 1348. W pierwszym roku wojny operujący niemiecki okręt podwodny zatapiał średnio 19 statków, w drugim 12, w trzecim 7, w czwartym średnia dalej spada. Natomiast wzrasta ilość zniszczonych korsarzy podwodnych. Operują oni teraz grupami, co wprawdzie zwiększa siłę ataku, ale równocześnie zmniejsza wielkość szeregów zagrożonych. Dawniej pojedyncze okręty podwodne rozsiane były po morzach szerokim wachlarzem, teraz zbierają się w "stada wilków", groźne, ale też łatwiejsze do wytopienia i zlokalizowania.

Jednym słowem Brytanii będzie dalej królować na falach. I jeśli los Niemiec zależy — jak chce Doenitz — od wojny podwodnej, to los ten jest przesądzony.

GUADALCANAL

Największym sukcesem Amerykanów na Oceanie Spokojnym jest niewątpliwie ewakuacja przez Japoń-

czyków wyspy Guadalcanal na Salomonach, oraz Buna na Nowej Gwinei. Okazuje się, że — mimo strat — Amerykanie osiągnęli lokalną przewagę nad rozproszonymi na wielkich przestrzeniach siłami morskimi przeciwnika. Ostatnia koncentracja floty japońskiej na tych wodach, miała niewątpliwie za zadanie przyjąć się z pomocą zagrożonym siłom lądowym. Udało się to — naszym zdaniem — tylko częściowo. To znaczy coś niecoś mogli Japończycy wycofać.

Amerykanie przypisują się do straty ciężkiego krążownika "Chicago" i jednego kontrtorpedowca. Japończycy stracili mieli w tej ostatniej fazie dwa kontrtorpedowce, ponadto zaś 4 dalsze zostały uszkodzone. Straty japońskie w powietrzu obliczane są na 66 samolotów, amerykańskie na 23.

Prasa amerykańska ocenia straty japońskie od początku wojny: w okrętach wojennych — 107 zatopionych, 26 prawdopodobnie zatopionych i 142 uszkodzonych, w statkach handlowych — 150 zatopionych, 18 prawdopodobnie zatopionych i 81 uszkodzonych.

W tymże czasie Amerykanie stracili: okrętów wojennych zatopionych 71, straconych z innych powodów 12, i zniszczonych wskutek działań 9. Okrętów uszkodzonych oraz strat marynarki handlowej prasa amerykańska nie podaje.

NA MORZU ŚRÓDZIEMNYM

Jeden z poważniejszych publicystów polskich napisał niedawno, że "Luftwaffe" panuje w Cieśninie Sycylijskiej, a Kreta i Morze Koralfowe są dowodem, że na morzach wewnętrznych lotnictwo ma więcej do powiedzenia od marynarki.

Pogładowi temu przeczą fakty. Sojusznicy zagrażają poważnie komunikacjom nieprzyjaciela na wodach Tunisu i Sycylii, topiąc średnio jedną trzecią jego statków /84 w ciągu ostatnich trzech miesięcy/. Czy "Luftwaffe" panuje tu niepodzielnie — jest kwestią, którą rozstrzygnie najbliższy czas. W każdym razie przetrwanie ciężkiego sprzętu i poważniejszych zasobów nie jest dla "osi" łatwe. I nawet pomoc "Luftwaffe" nie pozwoliła Mussoliniemu ani spędzić brytyjskich okrętów z powierzchni morza,

wilży nie należy oczekiwać przed początkiem kwietnia. Do tego czasu wiele może się zdarzyć.

Sprawozdawcy brytyjscy z Moskwy donoszą o powodzeniach armii sowieckiej zaznaczają, że ma ona dzisiaj lepsze uzbrojenie nie tylko od sprzętu w r. 1941 ale i w r. ub. Poza to "mobility" tej armii jest dzisiaj olbrzymim jej atutem — ta właśnie zaleta, która była najgroźniejszą bronią armii niemieckiej w r. 1941.

Złamanie linii Dniepru — rzeki nie stanowią dzisiaj wielkiej przeszkody, jeżeli nie kryją się za nimi potężne fortyfikacje i umocnienia w głąb — będzie dowodem, że armia niemiecka musi się cofać jeszcze dalej, przypuszczalnie na ową linię Moltkego i że skrócenie frontu o 1000 km, czy więcej, jest koniecznością.

Jeżeli tak, to rozpoczęcie przez tak cofającą się armię ofensywy w lecie, wydać się wcale wątpliwe. Raczej narzuca się myśl, że Niemcy chcieliby powtórzyć swój sukces z przeszłej wojny, pod Tannenbergiem, przez wciągnięcie Rosjan na tym czy innym odcinku. Ponieważ na południu mają najwięcej miejsc dla manewru, należało by oczekiwać takiej próby właśnie na południu, a nie na północy.

Opinia anglosaska śledzi z największą uwagą postępy sowieckich sojuszników. Pisma angielskie, a w jęszcze większej mierze amerykańskie dyskutują szczerze rozmaite możliwości i zagadnienia, jakie postępy te rodzą. "Observer" z dnia 21.11. w artykule "Russia's Army and Europe's Fate" stwierdza, że pojawiają się już dzisiaj pewne "momenty polityczne", które sojusznicy winni szczerze przedyskutować. Pismo to sądzi, że USA, W. Brytania i Rosja mogą "gwarantować Europie Środkową... sojusznicy natomiast mogą gwarantować granice Rosji i jej interesy w wschodniej Europie, ale tylko jako część składowa wspólnoty europejskiej."

"Sunday Dispatch" w depeszy swojego nowojorskiego korespondenta, Iddona, szczerze opowiada o nastrojach w USA i przewiduje spotkanie Stalin-Roosevelt. Amerykanie chcieliby także znaleźć furtkę dla Finlandii i uważają, iż tylko szczerze i rzeczowe przedyskutowanie celów wojny Rosji i Anglosasów, może dać odpowiednie rozwiązanie dla złożonej sytuacji.

Główną takich jest dzisiaj wiele. Dowodzą one, że mocarstwa anglosaskie rozumieją, iż mowa sojuszników musi być wspólna i że Karta Atlantycka winna obowiązywać wszystkich. Jest to czujność, która dowodzi, że Waszyngton doskonałe sobie zdaje sprawę z obaw Europy i że ma on wyczuć spraw konyentu.

Londyn, 22. lutego 1943.

ZBIGNIEW GRABOWSKI

Wojna na morzu

utrzymania. Współpraca sowieckiej floty z wojskiem była tu od początku do końca idealna.

W chwili gdy piszemy te słowa, zaczyna się walka o Kercz. Cieśnina ta jest płytka; zimą często zamara. Nie mamy danych aby stwierdzić obecny stan rzeczy. Fakt jednak, że ewakuacja sił niemieckich z półwyspu Tamań odbywać się może chyba tylko drogą powietrzną, z pozostawieniem ciężkiego sprzętu.

POLSKA MARYNARKA WOJENNA

Raport dowódcy O.R.P. "Błyskawica" o walkach na "wybrzeżu Północnej Afryki kończy się słowami:

"Muszę podkreślić naprawdę bohaterские zachowanie się załogi okrętu. Bardzo ciężko ranni zachowywali się tak, że nie wstydziłem się mego wstruszenia. Wszyscy prawie, z którymi rozmawiałem, a niektórzy z nich nie będą żyli lub zostaną kałkami na całe życie, chcieli tylko jak najprędzej wrócić na okręt i to koniecznie na "Błyskawicę" — by pomóc się na Szwabach. Pytali się czy samolot aby został zestrzelony. Paru wypowiedało obawę, czy jeszcze zdolni będą do służby w Marynarce Wojennej. Jeden z nich — kucharz, Białorusin, zawsze wymierzony, pierwszy z ochotników z wojska do marynarki, rocznik 1940, został bardzo ciężko ranny w nogę, brzuch i klatkę piersiową. Leżąc skurczony, wstydliwie pocieszał mnie, że jemu właściwie nic się nie stało. To "trochę w nogę" nie pozwala mu chodzić a w piersiach to nic mu nie jest, tylko ciężko mu dech złapać. Ale on i tak będzie przedkonnym z "panem komandorem," bo przecież był za mną już na "Piorunie." "To tak trochę tylko, to przecież wojna."

Ranni odsyłali doktora, tłumacząc, aby lepiej innemu pomógł — "o, temu co ciężko oddycha." Ten co miał rękę całą starał się napić tego, który był już bez ręki lub miał ją skaleczoną.

Duch załogi okrętu wyszedł zwycięsko z tego ciężkiego doświadczenia. Oby Bóg ocalił jak najwięcej tych pokrwawionych, dzielnych, młodych chłopców dla naszej Marynarki."

Jak wiadomo ORP "Błyskawica" brał udział w kilku operacjach na Morzu Śródziemnym, w czasie których stoczył szereg walk z okrętami podwodnymi i samolotami nieprzyjaciela.

JULIAN GINSBERT

Z Generałem do Ameryki

II. W sercu 48-miu krajów*

Nielatwo można wytłumaczyć, dlaczego Waszyngton, oddalony o cztery tysiące kilometrów od zachodnich wybrzeży Stanów Zjednoczonych i leżący niewiele bliżej rzeki Sacramento, czy Nevady czy Arizony, a oparty prawie płecami o atlantycką granicę — jest stolica tak, jak był nią kiedyś, gdy sfederowanych stanów było trzy-nastę.

Ze jest nią i dziś — widać wyraźnie. Czterdzieści osiem alei z nazwami stanów schodzi się z wszystkich kierunków gwiazdzisto w śródmieściu, spotykając się wokół parku z pomnikami bohaterów narodowych i niemal przed bramami białej siedziby prezydenta. Po czterdziestu osmiu alejach i stu innych ulicach, numerowanych lub nazywanych alfabetycznie, chodzi tętniące życie amerykańskie.

Wypełnia ono i piękne budowle Kapitolu, Senatu, Sądu Najwyższego i gmach Kongresu, ministerstwa i sztabu. Ludzie pracujący za biurkami, jak i stojący przed nimi, pochodzą z różnych stron. Tych samych ludzi można spotkać również przy bufecie w ludowej *Drug Store*, w przedziwnej instytucji, która przetrwała w niezmięnionej formie od czasów pierwszych osadników i w której można nabyć wszystko, od lekarstwa i książki do butów i toporka.

Samochody, parkowane setkami na placach lub przepływające wzdłuż ulic, o doskonałych aerodynamicznych liniach, mają tabliczki z najbliższych i najbardziej odległych stanów.

Na *Union Station* tablice towarzyszą kolejowych wskazują odległe stacje, daleko na zachodzie lub południu, do których prowadzące tory zaczynają się właśnie w tym miejscu — za balustradą z budkami biletów. Z lotniska startują maszyny pasażerskie "Wielkiej Srebrnej Floty," *Pan-American Airlines* lub transkontynentalnej "TWA" i rozlatują się wachlarzem swoich tras do Alaski, do Los Angeles, na Florydę, ku Meksykowi i dalej. Istotnie, tu jest serce i mózg tych krajów, rozłożonych na powierzchni blisko osmiu milionów kilometrów kwadratowych.

Generała Sikorskiego powitało od pierwszych jego kroków w Ameryce zainteresowanie wielkie i wielostronne.

W stolicy żyjącej pełnym tempem wojennym, jak i w Nowym Yorku, w Pittsburgu, w Chicago, rozszedł się szeroko anons komunikatów radiowych i prasy, że przyleciał z za oceanu "to discuss Allied war strategy and post-war problems." Obsługa dyplomatyczna Reutersa podała, że "stało się już zwyczajem, iż Prezydent Stanów Zjednoczonych i Premier Polski w większych lub mniejszych odstępach czasu spotykają się, by wspólnie omawiać doniosłe sprawy, wynikające z aktualnej sytuacji."

Sprawy i sytuacja obecna — rzeczywiście doniosłe. Opinia publiczna chce w takich chwilach szczegółów. Tymczasem już na wstępie Generał oświadczył prasie w formie nieoficjalnej, iż nie może wiele powiedzieć, aczkolwiek nie chce wojny z nią, z potęgą, której wielkość jest mu dobrze znana. Zaczęły się więc różne przypuszczenia. Niektórzy twierdzili, że przybył dla wzięcia udziału w planowaniu ostatecznej ofensywy wojennej, inni, że dla rozmów i opracowywania planów organizacji powojennej Europy, szczególnie wschodniej, że w kwestii granic Polski i wreszcie, że z potrzebami Sił Zbrojnych.

Sprawy te interesowały niesłychanie żywo prasę polonii. Zapełniając swe szpalty dociekawościami, sprecyzowała w końcu: "Sikorski, jako Premier i Wódz Naczelny, a także jako wytrwały strateg, cieszący się wielkim uznaniem w sferach militarnych świata" — będzie konferował o wszystkich żywotnych problemach Polski i o większości ogólnoeuropejskich, lecz "bez względu na to, co stanowi główny cel podróży i o czym głównie mówić się będzie w czasie narad w Białym Domu, spodziewać się można śmiało, iż rozmowy te przyniosą

skutki dla sprawy polskiej dobre, a to dlatego, iż Premier Sikorski i sprawa Polski cieszą się u Prezydenta i członków gabinetu jego szczerą przyjaźnią."

Jakby na potwierdzenie zaufania amerykańskich sfer wojskowych do wypowiedzeń polskiego Naczelnego Wodza, jako stratega, nowojorski *Journal American* ogłosił wiadomość:

"Naczelne Dowództwo Zjednoczonych Narodów ujawniło dziś, iż doszło do następującej konkluzji: Niemcy ostatecznie zdecydowanie już przeszli do ofensywy w Europie i tak pozostaną aż do ostatecznego rozgromienia. Pogład ten jest podzielany w wysokich kołach oficjalnych i dyplomatycznych w Waszyngtonie. Tym, który wyraził to zdanie publicznie, wkrótce po konferencji z Prezydentem Rooseveltem, jest ostatni gość z zagranicy, generał Władysław Sikorski, Premier Rządu Polskiego na emigracji."

Ocenę jego strategicznych i politycznych przewidywań wypowiedzieli innym razem członkowie Komisji Spraw Zagranicznych Kongresu, na nadzwyczajnym tajnym posiedzeniu na Kapitolu. Po zakończeniu kilku-godzinnych obrad członkowie Komisji razem z przewodniczącym Sol Bloom'em dziękowali Generałowi za przedstawiony im realnie obraz sytuacji międzynarodowej i Polski. Przyznali, że szereg przewidywań, wypowiedzianych przez Generała rok temu, na podobnym posiedzeniu tejże Komisji, w tej samej sali — stał się w międzyczasie rzeczywistością.

Odbyła się konferencja prasowa. Przybyli przedstawiciele sześciu wielkich agencji telegraficznych, czterech koncernów prasy i szesnastu reprezentatów pism codziennych, obsługujących w sumie — bez agencji Tassa — 9073 pisma w Ameryce i poza nią. Słuchali słów żołnierza-dyplomaty, jak Generała nazywali, z wielką uwagą. Rzeczowymi pytaniami potwierdzili zrozumienie wielu spraw europejskich, także i najistotniejszych polskich dogmatów. Konferencja wreszcie w dużej mierze zaspokoila głód ciekawości i zainteresowania. Pisma podały sążniste komunikaty.

Naprzeciw Białego Domu, po drugiej stronie Pennsylvania Avenue, mieszkał Generał w oddanej mu do dyspozycji gościnniej rezydencji Prezydenta. Między jedną a drugą konferencją z wybitnymi osobistościami tego kraju, pracował sam w swym gabinecie, przy biurku z wazonem białoczerwonych kwiatów. Pod blairowskim stropem, wzniesionym za czasów Monrogo, pracował tak, jak pod każdym innym dachem na ziemi i pod każdym niebem, gdziekolwiek go służba zawoła. Na piękne róże patrzył tak, myśląc, pewnie o jakimś gdańskim problemie, jak i na oblodzone gałęzie brzozy w Kujawszewie, z ojcowską troską o żołnierza i jak na żdźbło pustynnej trawy, leżące pod

tobruckim namiotem.

Kiedy już punkty zagadnień mieszały mu się i gubiły gdzieś między papierami, wychodził na spacer w stronę Kapitolu lub jechał nad ujście Potomac'u. Brał z sobą adiutanta, gdyż ten przynajmniej nic nie mówił i o nic nie pytał. Prezydentowski szofer również wiedzieć chciał co najwyższej, jaką dać szybkość. Stosował ją według życzenia.

W tym czasie Ambasada przy szesnastej ulicy i jej umundurowane *vis-à-vis*, na cztery ręce rozpracowywały otrzymane elaboraty. Najczęściej jednak dzielna maszynistka w Blair House głośliła się samotnie lub wespół z pułkownikiem z Kanady. Czasem Radca dyktował.

Zwykle mieli pracę na ukończeniu, kiedy Generał wracał i wkręcał w nią nowe linie myśli. Maszynistka odczoło i z oddaniem przepisywała od początku.

Któregoś dnia, dziesięć przed pierwszą do domu Blair'ów przybył wysoki dostojny pan z zadziwiająco spokojem w obliczu. Ten sam, tak dobrze znany z fotografii i pism europejskich z przed trzech lat — Sumner Welles.

Patrząc na niego, przypomina się, jak w owe ciężkie dni maż ten milczał i spokojnie odmierał swe dyplomatyczne kroki po Europie, która czekała z zapartym tchem na sprawiedliwe słowa, jakie przez jego usta miał wypowiedzieć Wuj Sam. Ale dyplomata odjechał bez słów w swój daleki, spokojny poddówcza świat, gdy w naszym wrzało coraz gwałtowniej. Dlatego może niektórzy czuli cichy żal.

Dziś żywymy inne uczucia. Amerykański dyplomata myśli często o wojnie i o wspólnym wrogu. Jest sprzymierzonym.

Minister oderwał wzrok od batalistycznych sztychów, kiedy Generał wszedł z gabinetu. Powitał go gorąco, jak gdyby spotykali się pierwszy raz po długim niewidzeniu.

Rozmawiali chwilę. Siwy portier podał czapkę generałską i kapelusza ministra.

Idąc w dół schodów ku ulicy, Sumner Welles wykonał ruch, jakby chciał wzięć Generała pod rękę. Wstrzymał się, spojrzawszy na jego sylwetkę. Uśmiechnął się sam do siebie.

Policjant zatrzymał ruch na alei, kiedy przechodzili w poprzek. W bramie naprzeciw, pod rozwiniętym gwiazdzistym sztandarem warta sprezentowała broń.

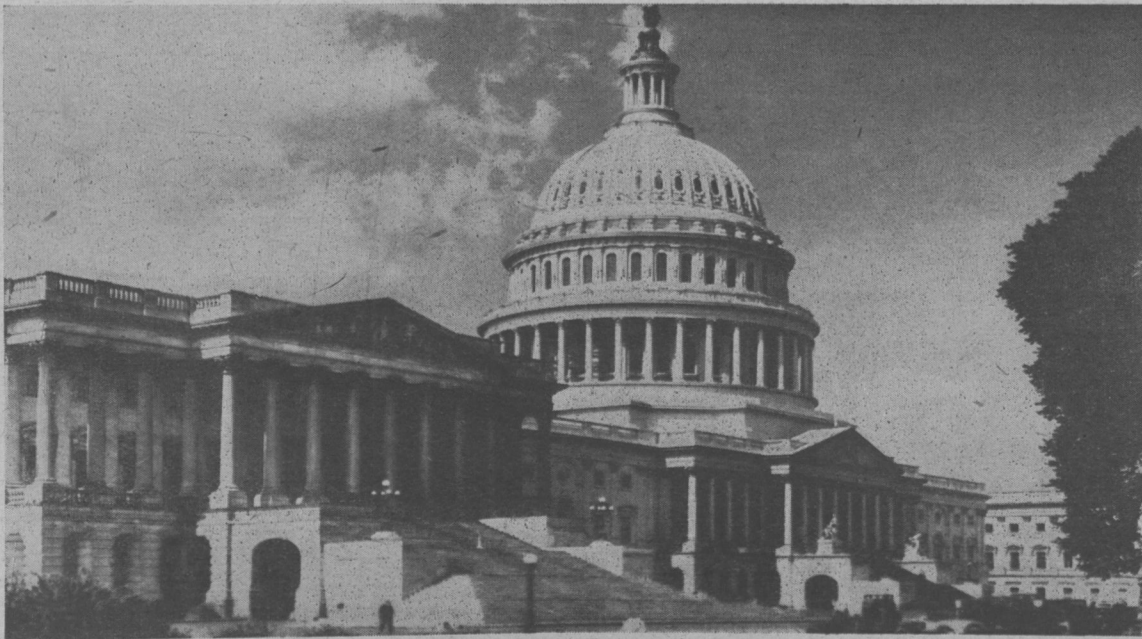
Znikli pod kolumnadą Białego Domu.

Kiedy siwy portier zamykał drzwi Blair House'u, paniąka przy telefonie odpowiadała jakimś dziennikarzowi:

—Jego Ekscelencja udał się w towarzystwie ministra Welles'a do Białego Domu na narady. Tylko dyplomata z zadziwiającym spokojem w obliczu był świadkiem tych ważnych rozmów.

Po dwóch godzinach wrócił do Blair House'u z Generałem. Idąc po schodach do otwartych drzwi znowu chciał podać rękę. Zawahał się znowu i uśmiechnął w zamy-

Kapitol w Waszyngtonie



szeniu. Na pożegnanie mocno uściśnęli sobie dłonie.

Generał poszedł na górę. Kiedy wychodziłem z jego gabinetu, Generał wstrzymał mnie.

—Cóż za pośpiech? — i z uśmiechem popatrzył z bliska w oczy. Ciepło podziękował za herbatę i kazał mi natychmiast pójść zwiedzać Galerię Mellona. Albo oglądając, co mi się żywnie podoba. Był w doskonałym nastroju.

Ten pobyt Generała w Waszyngtonie pierwszy z trzech w ciągu tej podróży, był pod znakiem konferencji zasadniczych. Niewiele można mówić o przebiegu i tematach, gdyż niewiele jest ludzi, którzy byli ich świadkami. Więcej wiedzą ci, w których kompetencji leży planowanie prac na stworzonych podstawach.

Między konferencjami o charakterze czysto politycznym, to jest, dwoma głównymi z Prezydentem, wieloma spotkaniami z Sumner Welles'em, Cordell Hull'em, z ministrami: Wojny — Stimsonem i Marynarki — pułkownikiem Knox'em, z Sol Bloom'em i Senatorem Conallym oraz z przedstawicielami Państw Sprzymierzonych z Lordem Halifax'em na czele — miały miejsce liczne rozmowy z oficjalnymi czynnikami wojskowymi. Najważniejszymi z pośród nich były narady z Gen. Marshallem i Strongiem, z Szefem Sztabu Naczelnego Wodza USA Admiralem Leahy, z Dowódcą Lotnictwa, Gen. Arnoldem i Operacji Morskich — Admiralem Kingiem oraz kilkukrotne rozmowy z szefem Brytyjskiej Misji Wojskowej, Sir John Dilleem i jego generalami.

Militarna strona zagadnień polskich a także ogólnych, przedstawiana wszechstronnie przez Naczelnego Wodza, była następnie przedmiotem dokładnych rozmów dowódców amerykańskich wspólnie z przedstawicielem Sztabu Armii Polskiej. Na prośbę Prezydenta i jego wojskowych współpracowników, nasz Naczelny Wódz w czasie podróży robił przegląd wysiłku wojennego Ameryki. Ze cyfry amerykańskie nie są fikcją, Generał mógł stwierdzić nie tylko w raportach i statystykach ministerstw i sztabów, ale i w produkcji potężnego przemysłu, w olbrzymich zakładach Chryslera, w składnicach wojskowych.

Rozjaśnia się horyzont przybyśszowi, który widzi, że Ameryka nie pracuje już tylko nad produkcją filmową i nad hodowlą rasowych koni w Kentucki, że zamiast modeli luksusowych samochodów, montuje w tych samych halach fabrycznych i śle na fronty — groźne czołgi i działa, troop-carriers'y i bombowce, z portów — lotniskowce i pancerniki.

Waszyngton dwie daty pamięta. Sierpień 1939 roku i druga — 7-my grudnia 1941.

Ta ostatnia tkwi głęboko w myśli każdego Amerykanina. Coś, jak dzień żałoby, jak wspomnienie rodzinnego wstydu. Nie mówi się o nim obecnie wiele.

Na widoku publicznym pozostał jedynie rzadki afisz, impresywny, surowy, jak pomnik poległych w wielkiej katastrofie.

Na tle ponurych ogni i dymów — rwany huraganowym wichrem gwiazdzisty sztandar Ameryki. Drzewce obejmuje skrząwiona reka. Poprzez nadszarpięte brzozi sztandaru, przez drzewce i ociekającą krwią dłoń — lakoniczny blokowy napis: "Remember December the 7th".

I pamiętają rzeczywiście mocno. Cięży w duszach to, że japoński ambasador chciał kontynuować jeszcze rozmowy w Waszyngtonie o warunkach współpracy wtedy, gdy pierwsze tysiące bomb japońskich spadały nieoczekiwanie z nieba na Pearl Harbour.

Znaczenie słów Hitlera z 1 sierpnia 1939, że nie chce prowadzić wojny przeciw dzieciom polskim i kobietom, jak i tych późniejszych, że jako dobry pasterz organizuje nowy ład na kontynencie Europy — Amerykanie rozumieją dobrze. Przez analogię.

Polskę znają coraz więcej. Mają na swej ziemi zdrową Polonię. Znają powszechnie to, o czym im mówił Paderewski swą sztuką i swym patriotyzmem. Mają i stare wzory. Pułaskich, Kościuszków. Wśród pomników bohaterów Ameryki przy *White House* stoi Naczelnik na swym kamiennym cokole. Ma poprawnie wyrzeźbione polskie nazwisko, nawet z przecinkiem nad "s" we właściwą stronę wygięty. Jest w stroju, w jakim go stare akwatinty i Matejkowe obrazy naszej wyobraźni dały, w postawie, którą uwieczniła chwalebnie nasza i ich historia.

Nas, współczesnych poznali w wojnie. Wszak Prezydent powiedział do Generała po drugiej konferencji, że Ameryka pamięta, iż wojna rozpoczęła się w Polsce, i wie, że jej żołnierz bije się twardo na wszystkich frontach.

To też żołnierz, który nosi na ramieniu wyszyte "Poland," nie może zjeść samotnie kolacji w zwykłej knajpce, czy w najlepszym hotelu. Nie zostawia go w spokoju i wracający z fabryk robotnicy, przy herbacie w *Drug Store*.

Terenem publicznej i żywiołowej manifestacji dla Polski był Uniwersytet Katolicki.

Nadano uroczyste Generałowi godność doktora *honoris causa*. Generał wygłosił mowę doktorską o misji Polski. Wolni ludzie zachodu, oddzieleni tysiącami mil od europejskich balansów potęg, od totalizmów, od *Drang nach Osten* i kwestii korytarzy — usłyszeli słowa, które były historyczną i żywą prawdą. Chwilami oszalałymi i bolesną, bo przeżywaną przeciętą przez ludzi.

Dostojni uczeni, których umysł budował obecny złoty wiek, wytrawni intelektualści i młodzi studenci, wojskowi i dyplomaci, przedstawiciele duchowieństwa z 48-miu stanów, głoszącego na tych przestrzeniach prawa etyki — wybuchli entuzjazmem dla Polski, gdy mowa skończyła i kiedy Arcybiskup Baltimore i Waszyngtonu, wskazując nań drżącą ręką, mówił w uniesieniu:

—Słyszeliście tę mowę! Przed wami stoi Premier i Wódz Naczelny tego Narodu, który Niemcy uważają za naród niższy! Spójrzcie nań!!!

Wiwaty szły przez aulę uniwersytecką.

Człowiek w mundurze stał bez ruchu. Przyjmował gorącą falę za swój daleki, miotający się w niewoli Naród. Zostawał doktorem praw na tej ziemi — jak rzekł — w chwili, gdy w jego kraju na jeźdźca ogłasza, że prawo jest wyłącznym przywilejem tyranów i przemocy.

Arcybiskup przesłał dalekiemu Narodowi przysięgę:

—W imieniu katolickiej Ameryki przyrzekam nasze poparcie dla Sprawy Polski — modłami, słowami i czynami, aż wszyscy dyktatorzy, winni pastwienia się nad Narodem Polskim, zostaną zgnieceni przez sprawiedliwość Bożą.

Na dzień tej sprawiedliwości czekamy wielomilionowymi tęsknotami. Z bijącego żywo serca czterdziestu osmiu krajów, z Waszyngtonu, droga powiodła przez Nowy York — w objęcia Polonii.

Każń na Montelupich

I.
Najstraszniejszy los, jaki może stać się udziałem żołnierza na wojnie — to niewola. W każdym innym położeniu, w jakie wojna potrafi wtężyć swoje dzieci, przysięga im iskra nadziei, która pozwala wierzyć, iż przyszłość kryje w sobie zmianę złego losu, a koroną poświęceń i wysiłków będzie zwycięstwo.

Nie mam zamiaru bronić tego poglądu przed zdaniem oponentów o innym sposobie patrzenia na sprawę. Zamierzam tylko powiedzieć, że takie pojmovanie sprawy rozwinęło pośród grup kolegów, zamkniętych w październiku 1939 r. poza drutami... skiego obozu jeńców, tak gorącą czynność, iż nie bacząc na zasięki, reflektory, strażę i bezwzględne strzelanie do próbujących ucieczki, wykrzesali tyle energii i tyle pomysłowości, by ryzykując nawet życiem, wyjść na wolność.

Prawdziwa ofiarność osób cywilnych, za którą srodze potem odpokutowały, pozwoliła dopiero uwięzić nasze wysiłki. Nie moge — bez ukrzywdzenia prawdy — pominąć stwierdzenia, że teorie różnie w odnoszeniu się nawzajem do siebie pewnych grup społeczeństwa polskiego, osiągnące swój szczyt w lansowaniu antysemityzmu, nie mówią o głoszonych niejednokrotnie znacznych różnicach klas społecznych — okazały się w świetle prawdziwego nieszczęścia, sztucznie wydetę bania mydlana.

Przy takim zdecydowaniu wydarciu się na wolność z obozu jeńców było dziełem igraszki rozochoconego chłopaka. Życzliwość nieznanymi przedtem ludzi dała nam możność zatarcia śladów, doprowadzenia się do stanu człowieka kulturalnego i wypoczącia po wszystkich tak niecodziennych przeżyciach.

Stąd do Warszawy popłynęliśmy w ogromnej fali powracających uchodźców.

II.

Widok jaki oczy nasze ujrzwały, kiedy dojeżdżaliśmy do Warszawy w dniu 13 października 1939 r. nie da się opisać niewiarycznym piórem. Jezeli historia narodów, państw i miast posiada swoje oblicze, to stolica nasza przybrała w owe dnie wyraz smutku, grozy i rozpaczliwego omdlenia, jaki zwykł malować się na twarzy człowieka uginającego się pod ciosami bandytry bez skrpułków.

Dla kogoś, kto nie walczył w obronie Warszawy, przedstawiała ona obraz podobny chyba do widoku zburzonej Kartaginy. Widok grozy zniszczenia, wywołujący uczucie dotkliwego bólu; żywy obraz z albumów Grottegera, uzasadniająca prawdę nadan: ongiś temu twórco miano wieszczca.

Fala czulej miłości wzbierała w każdym, kto przychodził z zewnątrz do tego miasta cierpienia i bohaterstwa, widział następstwa dziejów dotkliwego najeźdźców. Po przedało tę falę miłości uczucie dumy na myśl iż przywiązanie do wólno istnienia i świadome poczucie honoru było treścią tego, co naród nosi w sobie. Ponury obraz zniszczenia i spustoszenia do stanu perzynę nie był znamieniem śmierci, był sztandarem siły i żywej woli narodu. Kto zaś umie i chce uparcie przejawiać swą wolę, będzie żył i kroczył po jedynej drodze, prowadzącej niezawodnie do zwycięstwa.

To pisała Warszawa w październiku roku pańskiego 1939 — gloskami skruszonych przez bomby domów, wżórkami mogli na chodnikach masta, to mówiła oczami, pozostałymi przy życiu mieszkańców, którzy patrzyli na świat z jakąś dosadną powagą.

W tej Warszawie żyłem przez trzy tygodnie. Poczem otrzymałem polecenie stawiania się 9-go listopada w Krakowie. Ta okoliczność stała się dla mnie zbawczą. W Warszawie bowiem Niemcy zarządzili rejestrację oficerów, zrazu jako niewinną czynność porządkową. W rzeczywistości natomiast był to zabieg, który miał na celu ująć w ręce element oficerski, by wywieźć go potem do obozu jeńców.

Nie zgłosiłem się do rejestracji, uważając ten krok za niewskazany; niemniej jednak pobyt w tych warunkach w mieście był prawdzi-

wie niebezpieczny dla życia. Gdy uchwyciono n.p. w ulicznej łapanie nierejestrowanego oficera, który brał udział w kampanii wrześniowej, czekała go na miejscu kula w łeb bez żadnych formalności i roztrząsania sprawy. Co gorsza w przychylnych okolicznościach w razie złapania szło się do niewoli, a tam przynigdy!

III.

W dniu 9-go listopada rano czekałem w Krakowie w umówionej kawiarni. Ledwie wypilem herbatę, wpadła horda czterdziestu „Gestapowców”. Zdobytą bronią, z przerażeniem na twarzy, z wraskiem „*Polen raus!*” — aresztują wszystkich obecnych na sali Polaków, wypuszczając z całą uprzejmością kobiety. Z kolei wpędzają nas do czekających krytych samochodów ciężarowych, wciskając niewiarygodną ilość ludzi do jednego wozu.

Kawalkada rusza, kluczy po ulicach masta i nagłe staje na ulicy Długiej. Do wozu podbiega dwóch „Gestapowców” z dobytymi reвольwerami. Pokazuje się, że z samochodu wyrzucono kartkę. Żądają natychmiastowego przyznania się „winowajcy”. W przeciwnym razie dwóch dowolnie wybranych dostanie kulę w łeb po przybyciu na miejsce. Wóz rusza, nikt bowiem nie przyznaje się.

Po kilku minutach jazdy dobiegają nas, jak śledzie z beczki, na asfalt podwórza Wojskowego Więzienia Sledczego przy ul. Montelupich. Ustawiają nas pięknie długim szeregiem pod ścianą i nakazują naturalnie: „*ręce do góry!*”

Sprawa się rozpoczyna. Wprawdzie nie rozstrzelują obiecanych dwu, ale — brzmi groźba — o ile do pięciu minut nie zgłosi się „winowajca” wyrzuconej kartki, każdy trzeci, już ze wszystkich samochodów licząc, będzie rozstrzelany na miejscu. Sympatyczny herszt „Gestapowców”, tytułowany przez nich „*Herr Doktor!*” z kokieteryjnym spojrzeniem ku zegarkowi na przegubie, zaczyna liczyć. „Już 50 sekund, a czas leci jak strzała!” — rzuca uprzejmą uwagę, a w piękny, słoneczny dzień jesienny cisza zalega obszerne podwórce więzienny między murami „Montelupich.” Słychać — każdy jest przekonany — łomot serca sąsiada. „Minuta i 20 sekund” — wdzięczy się „*Herr Doktor!*” Zapadły cmentarz daleko za wsią tchnie majestatem ciszy, którą przerywa ponownie siepacz s'owami: „Minuta i 55 sekund.”

Kto nigdy nie studiował zagadnienia czasu nie wie, iż jest to pojęcie naprawdę nieistniejące. Kto jednak przeżył podobnie bydlęcy sposób obchodzenia się z tak już nieszczęśliwymi ludźmi, wie co to są „minuty wieczności” i jaka losadna prawda mieści się w tym określeniu. Jak bardzo potężny i bogaty jest duch ludzki, jeśli człowiek może w sekundach tyle przeżyć i to tak bardzo realnie, iż pozostają one wyraźne, jasno i głęboko zapisane w umyśle i duszy ludzkiej.

Po refleksji postanowiłem, zakładając się na szczęście dzieci moich i zbawienie duszy własnej, iż w wypadku, gdy los postawi mnie w odwrotnym stosunku, nigdy nie będę narażał niemieckich bydląt na takie cierpienia. Kiedy wrócimy do Polski, a przedtem przeciw przyjdzie się rozprawić z Niemcami, nie narażę żadnego potkanego Niemca na tortury przedsmaku potępienieczy w'ecności. Kto grozi, jak „*Herr Doktor!*” — ten niczego nie zrobi, kto działa przekonany o swej sprawie, jak my wszyscy: strzela.

Po trzecim groźeniu winowajca przyznał się, otrzymał nauczkę na temat niekoleżeństwa w nieszczęściu i poszedł do pojedynczej celi. Nas z kolei zb'r zapewnił, że wiedziliśmy chyba, iż on tylko żartuje.

Potem wyłączono spośród nas Żydów, a nas samych podzielono na dwie grupy. Jednych osadzono w kaplicy więziennej, mnie zaś przypadła w udziale pokuta w świetlicy więziennej, gdzie pomieszczono 36 osób. W tym 24 nauczycieli gimnazjum VIII i IX, z dyrektorami i katechetą na czele, ponadto czterech inżynierów z przemysłu górnośląskiego, 2 oficerów służby stałej, rektora Akademii Górniczej, którego wsadzono tu zamiast do Oranienburga, dy-

rektora krakowskiej Izby Handlowo-Przemysłowej a w końcu jednego kelnera.

Warunki pomieszczenia nad wyraz prymitywne. Dla mnie pamiętającego inne więzienie polityczne były one szczytem komfortu. W rzeczywistości zaś jedyną wygodę życiową stanowił siennik jeden na dwu, z wspomnieniem s'omy wewnątrz. Poza tym ludzie złapani na ulicy, lub porwani ze szkoły od zajęć, bez kawalka mydła, bez żyłki, przy niemożności zmiany bielizny ani wyprania jej — musieli żyć tygodniami w ciągłej niepewności o swój los.

Przed wszystkim powiedziano nam, że jedyną karą porządkową, przewidzianą dla nas jest rozstrzelanie, a szczególnie jeżeli w dniu 11-go lub 29-go listopada będą na miejscu jakiegokolwiek rozruchy, albo odruchy podejrzenia, to zostaniemy również rozstrzelani, tym razem w zaszczytnym charakterze zakładników.

Na mnie nie uczyniło to żadnego wrażenia. Zastanowiła mnie tylko identyczność ujęcia sprawy ze sposobem, jaki zaobserwowałem już gdzie indziej. Ponadto byłem przeświadczony, że gestapowe katy rozstrzelają nas bez uprzedzenia na jeden telefon z ulicy Pomorskiej 2, gdzie usadowiła się krakowska władza naczelna policji nazistowskiej.

I tak czekałmy, licząc mocno jedynie na Boskie miłosierdzie. Szykany i dokuczania, jakim nas poddawano niech zostaną zapomniane. Sądzę zaś, iż interesujący jest w tym wszystkim charakter naszych oprawców. Otóż cela w „świeclicy” miała ich trzech.

Jeden był Niemcem rodowitym, „gestapowiec” czystej krwi, pies i kanalia w jednej osobie; nie szczędził nam przykrości i szykan, z których najmniejszą było szorowanie podłogi i sprzętów. Koroną jego programu postępowania wobec nas były nauki „moralne i ideowe” pomieszczone z prowokacjami. A musieliśmy tego wysłuchiwać „na baczność” w specjalnym przez niego wymyślonym szyku. Ironia losu była od tego widowiska. Przeważna część uwężonych byli to nauczyciele, z których wielu nie dostąpiło nigdy dobrodziestwa wzniosłych nauk P.W. i WF., a prztem byli to ludzie w'iekowi. To też inteligencja tego moralnego bandyty wysnuwała swą myśl z powiedzonką, że „jak daleko panom do umiejtności stania na baczność, tak też daleko do zrozumienia haseł narodowego socjalizmu.” „Jedynie Adolf Hitler...”

Było to jakby złowieszce echo tak niedawno w tej świeclicy wpaających zasad i pojęć. W końcu na którejś z rzędu nauce dobrał do upragnionego celu, a treść tej lekcji dałaby się zamknąć w takiej mniej więcej sentencji: „Gdyby żył Marszałek Piłsudski to zdobyłby swoje w Polsce osiągnęliby Niemcy bez rozlewu krwi germańskiej, przy czym Polska uniknęłaby wszystkich tak dotkliwych zniszczeń.” Co za wyrafinowany sposób poniżania wszystkich, co może być bliskie, cenne.

Drugim, który z kolei miał służbę był podobno Czech, pochodzący jednak z Sudetów. Ten dla odmiany chepił się, że przed dziećmiu miesiącami był jeszcze Czechem. Dziś Czechy przestały stnieć na zawsze, on został więc „Gestapowcem” trochę z musu, a wreszcie przez przekonanie. Przestrzegal tylko pozorów i nieodownego porządku.

Trzecim był Austriak. Jowialny typ Wiedeńczyka, którego charakter określał dobrze następujące zdarzenie. Kiedy dawaliśmy mu pieniądze z prośbą o poczynienie na miemie drobnych sprawunków, nie chciał przyjąć napiwku uzasadniając to tym, iż sam sobie zarobił napiwek, gdyż zam'ast jechać tramwajem szedi p'echotą, a zaoszczędzone 50 gr. wziął jako napiwek. To też w kolejnym, trzecim dniu jego służby panował po prostu raj na ziemi.

IV.

Z pośród całego rejestru szikan stosowanych tak ochotnie muszę tu wspomnieć o wycutym z wszelkich ludzkich uczuć sposobie traktowania Żydów przez gestapowców w kaźni na Montelupich. Liczne rozstrzelania nie były same przez się godne uwagi, skoro równocześnie rozstrzelivano

dziesiątki i setki Polaków codziennie bez sądu, a niejednokrotnie przez pomyłkę co do imienia morderwanego. Napiętnował tu jednak muszę sadystyczne i podle odnoszenie się do uwężonych Żydów. Jakkolwiek szkanowano i nas, chociaż znęcano się nad nami dosadnie, przy czym pol'czek stał, wobec wymyślnych przesładowań, niemal na granicy pieśczoły, to jednak, gdy patrzyliśmy jak maltretują Żydów, zrozumielśmy jak względne jest pojęcie nieszczęścia, które spotyka człowieka.

Nie brak było i politycznych sensacji kryminalnych. Siedział równocześnie ze mną ksiądz z Jasła i dwóch oficerów. Nazwisk tych ludzi nie znam, przyjęte bowiem było nie interesować się nazwiskami współwięźniów, aby na wypadek śledztwa nie było cienia możliwości mimowolnej nawet „wsypy.” Więziono tych ludzi w związku z międzynarodową aferą, dla której zaincenzowowania sprawozdawców dziennikarskich.

Afera cała polegała na głoszonej przez Niemców tezie, że dowództwo polskie stosowa o gazy trujące w walkach wrześniowych i że miało to mieć miejsce w Jasle, a od więzionych żądano w „sądzie” zeznania tego pod przysięgą. Miał to być dowód rzeczowy dla tej pięknej tezy. Więzieni nie mieli nic wspólnego z aferą gazów, której zresztą nie było, a gdyby podobny wypadek miał miejsce, zapewne takiej przysięgi by nie złożyli. To też osobliwie ciężki żywot mieli ci trzej. Należy przyjąć, że powiększyli oni liczbę zastrzelonych w kaźni na „Montelupich” w Krakowie.

Nie chcę być gołosłownym w opowieści mojej o mordowaniu ludzi w więzieniu wojskowym w Krakowie. Muszę przytoczyć przeto fakt widziany prawie na własne oczy. Był w Krakowie oryginalny w swoim rodzaju, nauczyciel rysunków w jednym z gimnazjów, Gustaw Rogalski. Oryginalny dziełczy, ojciec jego bowiem był redaktorem, drukarzem i kolporterem w jednej osobie, czasopisma „Diabeł” i dopelniał swą niecodzienną postacją liczne grono oryginałów krakowskich z czasów przed wojną światową. Rogalski syn posiadał duży talent rysowniczy i miał nieostrożność wydać przed wojną album karyktur Hitlera i jego pobratymczych kreatur.

Kiedy Niemcy wkroczyli do Krakowa w dniu 5 września poczęli wyłapywać pewnych ludzi, wedle przywiezionej z sobą listy. Po niedługim czasie złapano podstępem Gustawa Rogalskiego, przywieziono go na „Montelupich.” Tu widziałem go na przechadzkiach i ukradkiem z nim rozmawiałem. W czasie „śledztwa” powbijano mu prawie wszystkie zęby i nadamano szcękę. Kiedy byłem już na wolności doszła mnie, podana z więzienia wiadomość, że go zastrzelono, co można było przypuszczać, gdyż był zamknięty z partią, która dostarczała najliczniejszych „pod ścianę.”

V.

Do wszystkiego na świecie można przywyknąć. Po kilku tygodniach siedzenia życie ułożyło się w pewne normy. Zaprowadzono w celi ściśle wojskowy porządek dnia. Pobudka o 7, poczem modlitwa długa i codziennie bardziej żarliwa. Z początku powtarzano bezmyślnie słowa starego katechety, a czasem również i zdeklarowani bezboźnicy klęcząc, modlili się gorąco, znajdując wśród słów szpetanej modlitwy czego im brakło w chwili tak niecodziennej. Następnie śniadanie.

Sposób odżywiania był — jak wszystko — w „nowym porządku” inny i oryginalny. Więzienie nie dawało nam nic do jedzenia. Zakonnice z pobliskiego klasztoru przysyłały codziennie trzykrotny posiłek, za milczącym pozwoleniem władzy więziennej. Materialnie wspomagał je w tym celu Wydział Społeczny Zarządu Miasta Krakowa.

Potem następowała nuda więzienna całego dnia, przerywana tylko inspekcjami nadstawników — kluczników oraz czasem, nieczęsto nadsykanymi z miasta paczkami dla wybranych szczęśliwców.

Nuda robiła swoje. Taki zespół stu procentowych inteligentów to najlepsze środowisko i podłoże dla

zwątpienia i defetyzmu. Chyba z mysich dziur dobyte rozszerzały się niczym nieuczasadnione wieści. „W piątek nas zwolnią.” „Trzeba jeszcze czekać dziesięć dni do zwolnienia,” a potem rozczarowanie załamanej wiary. Owi niecierpliwcy nie doczekali się zwolnienia. Jednego zaś dnia, najbardziej niespodzianie przyszedł do celi ów „pies-klucznik” i wywołał moje nazwisko.

Stałem natenczas przed moimi oczyma scena już raz przeżyta; godzina 21 — 22, w progu zjawia się dozorca. Oczy wszystkich zawiisły na jego wargach; czyje imię wywołał, ten już nie ujrzał nigdy światła poranku, szedł na rozstrzelanie. Podobnie teraz władca kaźni podszedł do mnie i zaczął mi zbierać swe rzeczy i przysposobić się do odejścia. Na widok pewnych zapasów jadalnych oświadczył: „Proszę to zostawić tu panom w celi, nie będzie wam już potrzebne.” Nawiasem mówiąc „panowie z celi” dorzucili po cichu prośbę o pozostawienie im talii kart do bridge'a. Mnie natomiast opanował spokój i bezwrażliwość człowieka, który dobił nad brzeg przepaści i dalsza jego droga ściśle się na dnie otchłani.

Na korytarzu przed biurem więzienia ustawiono piękny szereg podobnych mi delikwentów. W tej chwili zbój-klucznik przemienił się w anioła radości i oświadczył zebrałym, iż jesteście wolni z łaski władz Gestapo. Jedyne pare formalności opóźni otwarcie krat więziennych.

Pierwszą z kolei był koncert śpiewaczy. Ów aniołek nowego ładu przedstawił nam dwu Żydów. Pierwszy z nich wysoki, przystojny, o inteligentnym wyrazie twarzy był z zawodu śpiewakiem. Wedle słów zbira siedział na „Montelupich” jako pasoyt burżujski, który usiłował przemycić poza granice „Wielkich Niemiec” obce waluty, trwoniąc w ten sposób ciężko zapracowaną krawicę niemieckiego ludu. Nim jednak zostanie rozstrzelany — czule słówko tak chętnie używane przez zbiorów — zaśpiewa nam dwie piękne włoskie pieśni miłosne. W półciemnych korytarzach więzienia rozległy się tony, mogące każdego łatwo przeniesić na słoneczne San Michele. Drugą ofiarą był mały, pokraczny Żydek, chórzysta z synagogi, który zachęcony kulakami, odpiewał dwie pieśni religijne. Było w tym obok smutku i grozy coś z „Pieśni nad pieśniami.”

Z kolei musieli obydwa biec klusem po schodach na drugie piętro. Zakończyła wszystko ceremonia w kancelarii więziennej, gdzie wolano nas po dwóch i stawiano za warunek podpisanie „Deklaracji Gestapowej.” Wezwany sygnałem po pióro, by podpisać ją nie czytając, mało bowiem obchodzili mnie treść tego papieru, gdyż nikt z nas nie miał żadnego zamiaru zastosować się do jego postanowień i nakazów. Uprzejmy „Czarny” zb'ir wrócił mi uwagę na lekkomyślność takiego postępowania.

Przeczytałem więc. W szeregu punktów zobowiązywała ona podpisującego — to niby mnie — do wielu różnych rzeczy. Nigdy w życiu nie zobowiązywałem się do tylu i brudnych świadczeń. Ciekawy był jednak punkt ostatni. Mówił on, iż na wypadek niedotrzymania jednego z zobowiązań, a nade wszystko, gdybym komukolwiek opowiadał co o więzieniu, nawet wyrażając się pochlebnie, zgadzam się tym samym na to, iż zostanie rozstrzelany bez sądu. Można powiedzieć inaczej; zastrzelony w drodze postępowania administracyjnego.

Nareszcie był koniec. Oddano nam depozyty i z czarującym uśmiechem na ustach rozwarło drzwi więzienia. Ścięgało nas pozdrowienie: „*Auf wieder sehen!*” * * *

Kto nigdy nie opuszczał drzwi więzienia, gdzie parodia ludzkich stosunków każe jednemu człowiekowi pilnować pobawionego wolności bliźniego — ten nie wie, co to jest podłość ludzka. Niczyja wyobraźnia nie zastąpi zimnego, okrutnego cynizmu takiego zjawiska. Walka zaś, która używa takich środków, nie da przynigdy laurów zwycięstwa. Trwałe wyniki osiąga się jedynie krocząc uciążliwą drogą.

Żołnierska ekipa dziennikarska B.D.I.C

(Korespondencja własna "Polski Walczącej")



W redakcji "Ku Wolnej Polsce"



W "drukarni" — przy cyklotypu

Jak już donosiliśmy—Armia Polska na Wschodzie skoncentrowana została pod rozkazami gen. Andersa w Iraku. Do oddziałów W.P. ewakuowanych z Rosji dołączyły oddziały Brygady Karpackiej i Legii Oficerskiej, stacjonowane w Palestynie.

Zamieszczamy reportaż Wacława Sikorskiego, który opisuje swoje wrażenia z przejazdu czołówki Referatu Oświaty i Kultury z Palestyny na nowe "miejsce postoju" w Iraku.

Fotografie ilustrujące artykuł dotyczą zasłużonego pisma Brygady /później Dywizji/ Karpackiej. Po dokonaniu koncentracji pismo to połączyło się z tygodnikiem "Orzeł Biały" — Polska Walcząca na Wschodzie, powstałym w Rosji.

W m.p. "gdzieś na pustyni"

Było to pod koniec sierpnia ubiegłego roku. Dostaję pewnego dnia rozkaz zwijania larów i penatów i udania się w daleką drogę na nowe m.p. Długa konferencja z szefem Referatu Oświaty i Kultury. Skrętnie notuję wszelkie polecenia. Wydaje swym ludziom ostatnie zarządzenia. Pilnuję, aby załadowano jak największą ilość sprzętu świetlicowego, zabieram co tylko mogę, by po przybyciu na miejsce przeznaczenia nakarmić strawą duchową tych, co na bezbrzeżnych polaciach Rosji przez wiele, wiele miesięcy pozbawieni byli książki polskiej, polskiego pisma. . . .

PRZEZ NIEZNANĄ KRAINĘ
Myśli tłoczą się do głowy. Przecież przejeżdżać będziemy przez nieznaną krainę, o której słyszeliśmy tylko z opowieści, przez owe tereny, gdzie kiedyś pomiędzy Tygrysem i Eufratem miał być legendarny raj. Tam doznamy nowych wrażeń. Może dane nam będzie spotkać po drodze któregoś ze starych przyjaciół, który podobnie, jak i my — tylko od innej strony świata — po długiej tułaczce po obcych krajach, przecierpiawszy wiele, śpieszy obecnie na nowe m.p., by jako żołnierz wielkiej Armii Polskiej na Wschodzie do ostatecznej rozgrywki z wrogiem się sposobić. Żegnamy piękne palestyńskie gaje pomarańczowe, zaopatrujemy się po drodze w winogrona, arbuzy i po paru godzinach drogi wkraczamy w granice Transjordanii. Mijamy szybko dolinę Jordanu i wjeżdżamy w pasmo gór, pnąc się serpentynami, skąd rozciąga się piękny widok na rzekę wijącą się długą srebrystą wstęgą. Na humorach nie zbywa. Zdaleka słychać dźwięki skocznej pio-

a on ciągnie dalej:

—No tak, to oszustwo i to jeszcze jakie! Tu miał być raj? Owa ziemia obiecana? Na tym bezludziu?—i roześmiał się od ucha do ucha.

Bardziej z historią starożytną obeznani starają mu się wytłumaczyć, że ów "raj" znajdował się w innym miejscu, paręset kilometrów stąd. To go jednak nie przekonało i nie przestawał kłaść, na czym świat stoi.

"AUSTRALIJCYCY"

Jedziemy dalej. Nagle ktoś wrzeszczy:

—Patrzcie, Australijczycy! Oglądam się i widzę całą kompanię żołnierzy w wielkich, charakterystycznych kapeluszach australijskich. Intryguje to nas wszystkich niezmiernie tym bardziej, że opodal widnieją na wielkiej tablicy napis w języku polskim. Czytamy:

"O BÓZ PRZEJŚCIOWY"
Za chwilę do uszu naszych dochodzą słowa polskiej piosenki. To śpiewają owi rzekomi "Australijczycy."

Okazuje się, że to nasi chłopcy z jednej z dywizji, przybyłych z Rosji. Zabrakło już hełmów tropikalnych, więc zamiast nich wyfasowali kapelusze australijskie. Wyglądają w nich doskonale. Myślę sobie: to jakby nowy dowód przyjaźni polsko-australijskiej, zadzierzgniętej już w czasie walk Brygady Karpackiej na Pustyni Zachodniej.

NA NOWYM M.P.

W niezamąconym już naszym spokoju potwornie zmęczeni, dojechaliśmy do niewielkiego miasteczka "gdzieś na Wschodzie," skąd po kilkunastu minutach dotarliśmy do jednego z obozów, gdzie ku radości wszystkich oświadczone nam, że tu zainstalujemy się na czas pewien.

Po wypiciu przynajmniej litra wody, umyciu się, odkurzeniu i zjedzeniu z apetytem posiłku, poszedłem zasięgnąć języka. Okazuje się, że i rzeka jest opodal i elektrownia, gdzie będzie można ładować akumulatory do aparatów radiowych. Melduję się zaraz u kwatermistrza czołowego rzutu, ppik.S. i wspólnie postanawiamy, że do czasu przybycia reszty kolegów z Referatu i Sekcji pozostanę ze swoją ekipą w tym obozie, bowiem warunki pracy będą tu jeszcze stosunkowo najlepsze.

Uspokojeni już całkowicie kładziemy się do snu, by skoro świt przystąpić do zaiste pionierskiej, jak się później okazało, pracy.

W MIEŚCIE NAMIENTÓW

Nazajutrz ruszam na dalsze zwiady. W obozie ruch niebywały. Warkot motorów samochodowych miesza się z gwarem niezliczonych grup żołnierzy. Przyjeżdżają, coraz to nowe transporty. Wszyscy chłopcy w owych wielkich kapeluszach. Dokoła dalekich wzgórz jak okiem sięgnąć cały las namiotów, całe setki, może tysiące. Tyle wojska polskiego! . . .

Przed sklepami żołnierskimi kilometrowe ogonki naszych wojaków. Kupują wszystko, dostownie co im w ręce wpadnie. Sardyńki, kompoty, przeróżne konserwy, soki, suchary, owoce itd. i t.d. i dziwią się, że można to dostać, wszak tam, na dalekiej Północy, były to marzenia. . . . A cóż to była za uciecha, gdy rozdaliśmy pomiędzy żołnierzy zawartość przywiezionych ze sobą t.zw. "paczek alianckich"! Różnego rodzaju gry, warcaby, maszyny do golenia, mydła, cieszyły się wielkim powodzeniem, a czekolada, której nie widziano miesiącami, przyjmowana była z entuzjazmem. Wszystkie te dary były jednak kroplą w morzu wobec olbrzymich potrzeb. . . .

A trzeba było wzdzieć miny naszych żołnierzy, gdy poczęliśmy wydawać powielany na Gestetnerze biuletyn informacyjny "Ku wolnej Polsce," którego nakład skoczył po naszym przyjeździe z trzynastu egzemplarzy na 1.500. Radość powstała nieklamaną wśród braci żołnierskiej, a naszej ekipie serca rosły, że "słowo drukowane" cieszy się tak wielkim popytem.

"ZAKAZANY CYWIL"

Wchodzi pewnego dnia do namiotu Referatu Oświatowego obozu jakiś starszy strzelec. Wali obcasami i melduje się z prośbą o jakąkolwiek bądź gazetę. Jakież było jego zdumienie, gdy poza biuletem dostał egzemplarz ostatniego tygodnika "Ku wolnej Polsce" i "Zewu," "Polskę Walcząca" oraz ilustrowane pisma angielskie i coś tam jeszcze. Był tym tak zaskoczony, że zamiast zasalutować, dał wyraz swej podziękę w dość oryginalny jak na stosunki wojskowe sposób: odchodząc ukłonił się jak "zakazany cywil" . . . kapeluszem. Spozstrzegł się już poza namiotem, że przecież jest w wojsku, wrócił i zażenowany przeprosił za tę "cywilną pomyłkę." I już "służbowo" zameldował swoje odejście. . . .

Tegoż samego jeszcze dnia wysłałem meldunek do swego szefa, błagając go, by przysłał czym prędzej "cały wagon" wydawnictw, pism, książek, słowników polsko-angielskich, bo tu wszystko rozejdzie się w oka mgnieniu.

POWIELACZ TOPI SIĘ W SŁONCU. . . .

Z wydawaniem owego biuletynu nie była to taka prosta sprawa, jakby się na pozór wydawało; mimo, że i fachowi dziennikarze byli i Gestetner, i specjalista do odbioru Morse'a. . . . Następnego dnia po przyjeździe rozpoczęliśmy pracę wspólnie z grupą uczynnego por. P., kierownika referatu oświatowego obozu. Zakasaliśmy rękawy i wszystko zaczęło iść jak z płatka.

Po trzech dniach pech. "Morsistę" plut. B. chwytą w nocy atak ślepej kiskizy i wiozą go do szpitala na operację. Strata poważna. Redaktor biuletynu straż. U. ze stoickim spokojem powiada:

—Mówi się trudno! Sami też musimy sobie radę dać.—Czego się na wojnie nie robi!

Drugi redaktor, strz. S. i sierż. pchor. S. . . ki potakują. I dali sobie radę. . . . Pracują od rana do wieczora w największym skwarze, by wysłuchać audycji, zredagować komunikat, napisać woskówki, powielić je, wyeksponować i znowu słuchać radia. I tak co dzień, co dzień mimo upałów, hamsinów i innych niezliczonych wschodnich przeciwności. . . . Sekundują dzielnie tej robocie nasze kochane panie z P.S.K., pracujące w referacie oświatowym obozu. Układają kartki, pomagają ekspediować, nie zważają na to, że ich ręce po takiej robocie wyglądają że pozal się Boże. . . .

Ktoregoś dnia nowy kłopot.

Nasz "krętać" na Gestetnerze kpr. C. wyrzywa sobie włosy z głowy w rozpacz, bo na tym zarze lejącym się z nieba, z farby do powielacza robi się plyn rzadki niczym woda i zalewa kartki, a równocześnie pył piaskowy wdiera się w każdą najdrobniejszą szczelinę skomplikowanej i precyzyjnej maszyny.

Ale to jeszcze nic. Nagle rozpacz: meldują mi, że gumowy wałek od Gestetnera roztopił się dosłownie na tym gorącu i maszyną stanęła. To już katastrofa. Żołnierze gotowi nas "zinczować," gdy nie otrzymają jedynej na tym terenie gazety—biuletynu.

Wpadam do drukarni i widzę zrozpaczonego kpr. C., który siedzi na ziemi, kręci głową i coś majstruje przy miętutkim niczym gąbka wałku. Dla świętego spokoju już nie mówię, tylko czekam co z tego będzie. Majstrował tak z pół godziny, wycinał, skrobał, czyszczył, aż coś zamajstrował. . . . I biuletyn—choć z opóźnieniem i w zmniejszonym nieco nakładzie ponieśli gońcy do swoich oddziałów.

Ale co dalej? Obcięty wałek będzie się nadal kruszył, a zapasowego nawet w samej stolicy dostać już nie można. Tylko sięść i płakać. . . .

Depeszuje więc do swego szefa, by natychmiast przysłał drugi Gestetner i zapasowe wałki.

RADUJĄ SIĘ SERCA DZIENNIKARSKIEJ BRACI

Czekamy niecierpliwie cały tydzień w ciągłej obawie, że robota może lada chwila stanąć. Aż na ósmy dzień przychodzi transport z Dowództwa a wśród wielu paczek znalazła się i paczka z zapasowym wałkiem.

Odetchnęliśmy, a nasz "krętać" chodził cały dzień dumny niczym paw. Powiększamy nakład, a nasze dziennikarskie serca radują się, gdy o godz. 17-tej do namiotu, gdzie mieści się ekspedycja, ciągną całe falangi gońców ze wszystkich oddziałów, znajdujących się niejednokrotnie w odległości 14 km., po "ostatnie wiadomości z placu boju."

Robota idzie całą parą. Gwar i ruch—jak w ulu.

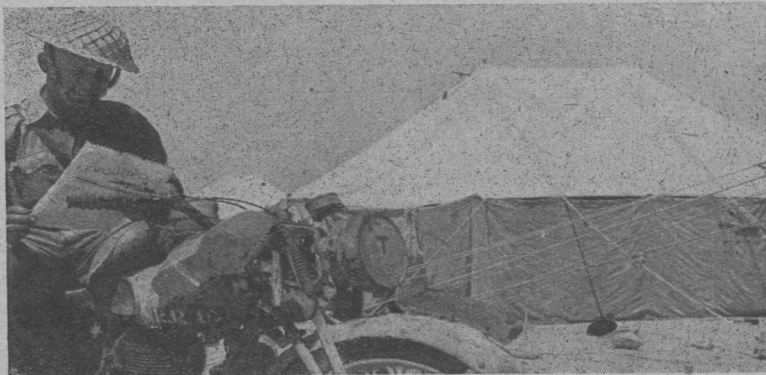
A kiedy wieczorem, po całodziennej pracy człowiek prostuje ramiona i zaczyna przemysłować o zasłużonym odpoczynku — dopiero wówczas jest czas na jakies rozważania i refleksje.

Pustynia azjatycka. . . namiot. . . dziesiątki tysięcy polskiego wojska. . . Polski biuletyn na pustyni. . . . Kto by pomyślał!

Eh, w głowie się nie mieści.

WACŁAW SIKORSKI

"Ku Wolnej Polsce" wśród namiotów



Lektura w okopie



Dalszy ciąg reportażu z podróży po brytyjskich lotniskach w Anglii podaje dzisiaj w formie luźnych obrazków.

Nasz autobus "własny" zakupiony z funduszy Ministerstwa Obrony Narodowej, nazwany został uroczystie przez kierowcę Zygmunta "Dziadziem," a to z racji poważnego wieku wyjeżdżonych mil, które ma już dawno za sobą. "Dziadzio" chodzi wolno po Anglii, jak przystało osobom "wysoko," urodzonym w szkockim Highlandzie, ale chodzi wytrwale i wozni nas wiernie całym dniami, często nocami.

Zygmunt rozmawia z "Dziadziem" czule, czasem tylko delikatnie wypomni mu jego poprzednie, "sportowe" zajęcia na linii: Loch Lomond—Dunoon, czy na innej wysokogórskiej szkockiej trasie:

"— Widzisz "Dziadziu" ta podłaziowa Anglia całkiem do Polski podobna; i prawdziwa strzecha trafi się czasem. Patrz się "Dziadziu," boś nigdy tego nie widział, a musisz się przyzwyczaić. Bo, wiadomo: pojedziesz z nami do Polski."

Raz tylko "sportowy Dziadzio" był prawdziwie zgorzany, gdy na wąskich uliczkach miasta L. powitały go posterunki motocyklistów oznajmiając, że tutaj spadły bomby czasowe, wśród nich w pobliżu jedna z większych, więc należy jak najprędzej i jak najdalej... wyrwać. "Dziadzio" był do żywego oburzony bezczelnością niemiecką, która pozwałała go przez całą noc dachu nad głową. Musiał bieda-czyszko moknąć na "parkingu" pod gołym niebem.

Przypuszczam jednak, że wyszło mu to na zdrowie. Zrozumiał, że wojna trwa w całej pełni, że Szkocja spokojna i cicha daleko, a tu w Anglii niektóre miasteczka codziennie przeżywały alarmy, ostrzeliwanie i bomby czasowe. Oczywiście wszystko to w "miniaturowym" wykonaniu pojedynczych samolotów, gdyż jak zupełnie wyraźnie obserwuje się w terenie, w tej chwili Goeringowi trudno się zdobyć na więcej.

"Dziadzio" z dumą, a może także z odrobiną szkockiej zazdrości patrzył na doskonałą postać Anglika, którzy w tymże mieście L. ewakuowali kilka najbardziej zagrożonych domów, a w czasie trzydniowego naszego pobytu zachowali kapitalną postawę pełnego spokoju i dostojnego wyczekiwania, aż do chwili gdy obwieszono urzędowo, że bomba czasowa przestała być groźna dla otaczających obiektów. Warto było obserwować życie w L. w ciągu tych trzech dni, by nabrać respektu i poszanowania dla... "dżemojadów."

Dwóch nieodłącznych kompanów ma Zygmunt prócz "Dziadzia": jeden to Marian, nasz "techniczny" od rekwizytów i dekoracji, a drugi przydzielony przez E.N.S.A./organizuje ona administracyjnie obecny objazd/ niejaki Mr. O'Brien, mistrz ruchomej, przewoźnej sceny, światel, pogodny Irlandczyk, były aktor charakterystyczny i śpiewak, a obecnie, jak sam o sobie mówi: "Pan Obrieński — sierżant polski."

Ta trójka rozwiązuje najbardziej zawikłane problemy społeczne, polityczne i teatralne językiem zupełnie gładkim i zrozumiałym, ale tylko... dla nich. Jest to praktyczny cocktail irlandzkiego "slangu" z odrobiną "włoszczyzny," z poważną domieszką rumuńskiego/Marian przed wojną długie lata mieszkał w Rumunii/ i z soczystym kolorytem nadwiślańskim, jako że Zygmunt wywodzi się z Ochoty. Jeżeli dodamy nawiasem, że "Obrieński" lubuje się w łamanej francuszczyźnie z łatwością odtworzywszy sobie znakomite, nieśmiertelne dialogi tej trójki:

O'Brien: — Mariano and Sigismondo, "muskieteros" — luggage, please, s'il vous plaît /podnosi kufer/.

Marian: — Ty Obrieński, od-daj miłotek pentru mine, stiu? Ja ci dam "please"!

O'Brien: — Sigismondo, tell me, what said Mariano in Polish, s'il vous plaît muskieteros?

Zygmunt: — He, znakiem tego, said you must, żebyś mu return back miłotek, Ajryszu w ząbek szarpany, understand?

Ale żyją w wielkiej przyjaźni. Tylko dwaj "muskieteros" irytują się, gdy O'Brien mówi zbyt szybko i zbyt dużo po angielsku, a on znowu podejrzliwie spogląda i okazuje wielkie niezadowolenie, gdy mówią przy nim zbyt długo po polsku. Reakcja tej trójki jest bardzo charakterystyczna dla wielu innych zetknięć polsko-brytyjskich.

Ileż to razy w tej podróży, o wiele częściej niż w Szkocji, spotkaliśmy się z wyraźnym życzeniem, bardzo szczerze wypowiedzianym przez Anglików: — "Mówcie przy nas między sobą po angielsku, bo nam przykro bardzo, gdy nie możemy zrozumieć o czym rozmawiacie w naszym towarzystwie." I dlatego O'Brien jest zły i dlatego pyta: — "Sigismondo, what Mariano said in Polish?"

Na dużej stacji czysto brytyjskiej B. tak zwany "Entertainment Officer" witając nas przeprosza, że widownia nie będzie pełna, ale właśnie dzisiaj wypadły loty operacyjne. Spodziewaliśmy się tego, obserwując przy dojeździe do stacji ogromne, potężnie grzmące w górce formacje "Lancasterów." Oficer mówi, że bardzo cieszyli się wszyscy i oczekiwali przyjazdu polskiego teatru, ale właśnie...

Odpowiadamy, że ta pustka na widowni będzie nam bardzo miła, bo wiadomo, że "Lancastery" nie "choczą" już z ulotkami. Sala jednak zapelnia się całkiem przy-zwoicie widzami angielskimi i "dominialnymi." Są więc: Kanadyjczycy, Australijczycy, Nowozelandczycy. Reagują żywo i bardzo serdecznie.

W mesie po przedstawieniu nawiązujemy szereg bardzo miłych znajomości. Australijczycy okupują chwilowo nasze panie, a w rozmowie ze mną zgodnie pochwalają opinię pewnego Australijczyka z Tobruku, który kategorycznie domagał się ustalenia po tej wojnie granicy pomiędzy Polską i Australią. Jeden z nich dodaje: — "Będziemy mieli taką wspólną granicę na oceanach, bo Polska będzie po wojnie potrzebna na morzu. Musi być taka!"

W kąciuku na stole, przykrytym czerwonym sukniem leżą ofiarowane przez nas w czasie przedstawienia książki i broszury o Polsce w języku angielskim. Zebrał się przy nim Kanadyjczycy i uzgadniają wspólnie z Australijczykami kolejność wypożyczania sobie tych kilku książeczek. Mówią prosto: — "Tu na odludziu każda książka witana jest chętnie, cóż dopiero interesująca książka o Polsce."

Dzieli więc między siebie "303" Fiedlera i "Poland's freedom of

the sea" — Bagińskiego, rozchwy-tują: "Jack'a Distributora" Majewskiego i "Does Poland matter to Britain?" — Grahama. Oficerowie W.A.F. interesują się spe-

£ 10,000

OFIAROWANE
LITERATOM
WSZYSTKICH
NARODÓW
ZJEDNOCZONYCH

na rok 1943 przez

firmę

HUTCHINSON

(The Largest Book Publishers)

celem zacieśnienia i pogłębienia
wspólnych stosunków i wzajem-
nego zrozumienia się.

Wszędzie czytanie i pisanie
towarzyszy międzynarodowemu
zrozumieniu, tak niezbędnemu
dla trwałego pokoju.

Blіszsze szczegóły otrzymać można
w księgarniach lub u wydawcy:
Hutchinson & Co. (Publishers) Ltd
47, Princes Gate, S.W.7.

cialnie broszurką Lady Anstruther
o kobietach polskich: "The part
played by Polish Women."

Bardzo żałujemy, że nie możemy
im dać doskonałej broszury: p.t.
"First to fight," która może naj-
bardziej przemawia do umysłowości
Brytyjczyka przez swą plastycz-
ność, prostotę i nowoczesność, ale
wydano ją w tak znikomej ilości
egzemplarzy, że dotarla tylko tu
i ówdzie. A szkoda. "First to
fight" trzeba rzucić masowo na
stacje lotnicze R.A.F., do fabryk
przemysłu wojennego, do szkół

POSZUKIWANIA

adresem: LEO SILVER, Box 452,
BULAWAYO, Southern Rhodesia,
Africa.
Wszelkie koszta z podziękowaniem
pokryje.

ADAMA KRÓLIKOWSKIEGO rod-
dem z Krakowa, syna STEFANA i
OTYLII, studenta Politechniki
lwowskiej poszukuje JERZY. Zgło-
szenie do Admin. Pol. Walczącej.

P. Bogusław MIERZWA proszony
jest o podanie swego adresu do re-
dakcji.

Roman KROCHMAL, 39, Centre
Str., St. Catharines, Ont., Canada —
poszukuje brata: Piotra Krochmala
ur. 1908 wieś Staboszów, gmina
Nieszczów, powiat Miechów, woj.
Kieleckie.

Osoby mogące udzielić jakichś in-
formacji proszone są o przekazanie
ich p. Romanowi Krochmalowi.

ZWIĄZEK ARTYSTÓW SCEN
POLSKICH GNIAZDO LONDYN
Zarząd Z.A.S.P.-u Gniazdo Londyn
zawiadamia, że Pan Minister Obrony
Narodowej zezwolił na należenie do
Związku Artystów Scen Polskich
artystom odbywającym czynną służ-
bę wojskową /pismo Szeffa Gab.
Nacz. Wodza i Min. Obr. Narod.
L.2253/GM/42. z dn. 30.XII.1942./
Obecny adres Związku: 45, Bel-
grave Square, London, S.W.1. tel.
SLOane 4755. — Dyżury we wtorki
i piątki od godz. 14-17.

brytyjskich, do obozów amerykań-
skich.

Ministerstwo Informacji, które
dostarczyło nam tylu doskonałych
broszur w poważnych ilościach
powinno koniecznie spowodować
jak najszybsze rzucenie "First to
fight" na szeroki "rynek" bry-
tyjski. Chętnie podejmiemy się
kolportażu. Naocznie bowiem prze-
konaliśmy się o poważnym znacze-
niu bezpośredniego rozdawnictwa
druków. Oprócz broszur rozdawa-
liśmy również książki, w które za-
opatrzył nas obficie Wydział Prac
Kulturalno-Oświatowych Min.
Obrony Narodowej.

Na tym samym lotnisku w B. za-
pytał nas miły oficer W.A.F.: —
"Czy Polska ma swój rząd na te-
renie Wielkiej Brytanii i czy Woj-
skie Polskie podlega bezpośrednio
Królówi Wielkiej Brytanii?" Pod-
kreślam zupełną wyjątkowość tego
typu pytań, ale jednak... trafiają
się one w terenie i dlatego nie
można ustawać w informowaniu.
Przeciwie, właśnie w obecnym
okresie czasu, należy je nasilić.

Podczas tego niezapomnianego
wieczoru dokonaliśmy uroczystej,
choć nieoficjalnej, "dekoracji"
Kanadyjczyka, urodzonego w Ame-
ryce z matki Polki i ojca Ukrain-
ca. Jego dziadek Polak żył i mie-
szkał we Lwowie. Lwów jest mia-
stem rodzinnym jego matki. Daw-
no chciał spotkać Polaków ze
Lwowa ten miły czarny porucznik
Ko... eńko /tak jest — nazwisko
ukraińskie/.

Miał jedną prośbę: chce nosić
na piersi polskiego orzetka, więc
oczywiście jedna z furazerek na-
szych została natychmiast ogoloco-
na, przy czym w czasie "dekoracji"
zaśpiewano porucznikowi
Ko... eńko polskiego marsza lot-
ników. Z wdzięczności ten kana-
dyjsko-ukraiński Lwowiak z dziad-
ka i matki Polki powiedział łama-
ną amerykańską ruszczyzną: —
"I, ja but we Lwowie before przed
wami — przez mego dziadka many
years ago..."

Gdy opuściliśmy mesę przy-
szła wiadomość o szczęśliwym po-
wrocie wszystkich "Lancasterów."
Wtedy jedna z "Wafek" odetchnę-
ła swobodniej i powiedziała tak
bardzo jakoś ciepło: — "O, I am
really very happy." Za nami wy-
biegli z mesy smutny, długowłosy
pies terrier szkocki, którego
pan nigdy już nie powróci. Pies
pobiegł na lotnisko. On zawsze
czeka...

Na angielskiej stacji w F. czeka
nas za kulisami, uśmiechnięty
chłopak. Był kiedyś w dywizjonie
polskim 307 i bardzo polubił Pola-
ków. Musiał wiele rzeczy naopo-
wiadać o tych Polakach swemu sze-
fowi, gdyż począwszy sergeant przy-
gotował w garderobach teatral-
nych przed każdym lustrem na
talerzykach papierose, a panom
czekoladę. Pod niektórymi stołami
w garderobie męskiej ustawił po-
tężne baterie piwa.

Był bardzo rozczarowany, gdy
po przedstawieniu Anglicy musieli
wykaczać za nas niektóre flaszk-
czyny z piwkiem i otwarciem skar-

żył się, że dostał mylne informacje
o Polakach, gdyż pod sceną miał
jeszcze ukryte wielkie zapasy,
w obawie, że bateria garderobiana
będzie natychmiast przez nas
zniszczona.

W tej samej miejscowości przy-
szły do nas po przedstawieniu ku-
charki i kelnerki z N.A.F.F.I. ofia-
rując 18 sh. jako datkę na pomoc
dla dzieci polskich w Rosji...

Jesteśmy w mieście, w którym
urodził się i umarł William
Shakespeare. Dostojny Stratford-
on-Avon przeżywa teraz wielką
tragedię szekspirowską: huczą po
jego wąskich starych uliczkach
ogromne amerykańskie samochody
ciężarowe, w powietrzu czuć ben-
zynę, a czerwona cegła schronów
ktoś się z patyną renesansowych
domków.

Jak "Sen nocy letniej," nocy po-
kojowej brzmi dzisiaj napis:
"Wszelkie środki lokomocji do wy-
najęcia. Dowozi się do wszystkich
miejsc pobytu Williama Shake-
speare'a." Nie dowozi się, bo jest
"scarce" z "petroleum." Gdy mi-
nie ta nie-shakespearewska "Burza"
wojenna, gdy odzyskamy znowu
nastrój do przejmowania się tra-
gedią Romea i Julii, gdy pytanie
Hamleta: "Być albo nie być"
przestanie dźwięczeć nam w uszach
odgłosem syren w cichym mia-
steczku angielskim, wtedy Strat-
ford nad Avonem wróci dopiero do
życia. Teraz wygląda jak stare,
opuszczone lotnisko, w którym ktoś
nagle zbankrutował, a nowy wła-
ściciel jeszcze nie przyjechał.

Na jednym z przedsiębiorstw
samochodowych pozostała z poko-
jowych czasów tablica: "Shake-
speare's Garage." Zastanowił ona
musi Polaka. Jakby to brzmiało
w Wilnie? — "Garaz Adama Mi-
ckiewicza"? Nie, nie, ukamienio-
wały by właściciele garażu, roznieśli
by budynek razem z fundamenta-
mi.

Upzejmy, przypadkowo spotka-
ny obywatel stratfordzki prowadzi
nas do szkółki, w której wstępne
nauki pobierał maly William, do
uroczego domku, gdzie się urodził
i nad Avon, do nowoczesnego
teatru szekspirowskiego. Chodzi
z nami po Stratfordzie i w opo-
wiesci stara się przywrócić dawny
urok miasteczka.

Zatrzymujemy się przy wielkiej
tablicy pamiątkowej. W tym miej-
scu, po powrocie z Londynu z ob-
jazdów teatralnych ze swoją trupą,
wybudował sobie ongiś piękny dom
William Shakespeare. Dom spio-
nął dawno. Był podobno dostatni.
Przechodził podkręta, że Szek-
spir był wówczas bardzo zamożny.
Nasz O'Brien wzdycha dwuznacz-
nie: — "Jakie szczęście, że Szek-
spir nie pracował z E.N.S.A.! Na-
pewno z objazdów nie zbudowałby
domu w Stratfordzie."

W szekspirowskim miasteczku
nad Avonem poraz pierwszy
w swej karierze nasz "Dziadzio"
wjechał na... "kocie tełki." Tak,
tak. Na nasze autentyczne polskie,
wileńskie czy lwowskie — jakie
chcecie — "kocie tełki." Zatrze-
sto nim jak w febrze, nam zadrga-
ły zęby. I prawie każdy zapytał:
— "A to co się stało"? A to były
po prostu tylko... "kocie tełki."
One się nie zmieniły. To my przez
trzy lata odwykliśmy od takich
drog. Po prostu zapomnieliśmy.

Pożyteczna obserwacja. Myślę,
że warto na chwilę wjechać na gor-
szy bruk, żeby ją zdobyć. A więc
szukajcie "kocich tełków" i...
przyzwyczajajcie się stopniowo.
Przyzwyczajcie, że to w pierwszych chwi-
li robi piorunujące wrażenie. A po
tym zastanawia. A po tym daje
okazję do myślenia...

Zygmunt powiedział do "Dzia-
dzia": — "Ty się nie rzucaj i nie
podskakuj, bo w Polsce, znakiem
tego, będziesz często jeździć na ta-
kich okrągłakach. Niech mnie
drzwi ścisną. Musisz spuścić
z tonu! Samym asfaldem się nie
jeździ, szanowny panie!"
"Dziadzio" zamyslił się powa-
żnie i jęknął rurą wydechową.

WIKTOR BUDZYŃSKI

EDINBURGH 24705

M. I. KOLIN (Publishers) LTD. podaje do
wiadomości, że w księgarni w Edynburgu,
przy ul. 31-a Castle Street, został
zainstalowany telefon.

URZĄD OŚWIATY I SPRAW SZKOLNYCH

BUCKINGHAM PALACE MANSIONS,
BUCKINGHAM PALACE ROAD, S.W.1. Tel.: SLO 0481-2.

zawiadamia o wydaniu książek:

- 1) Dybowski M. Ks. Dr.: LITURGIKA. Podręcznik do nauki religii dla kl. I. gimn., str. 132. Cena 2/6.
- 2) Baranowski Z. Ks. Dr. i Kowalski S. Ks. Dr.: NAUKA WIARY I OBYCZAJÓW. Podręcznik do nauki religii dla kl. II. gimn., str. 134. Cena 2/6.

Zamówienia można kierować bezpośrednio do Urzędu Oświaty i Spraw Szkolnych (Referat Wydawniczy) załączając przekaz pieniężny.

Ack - Ack jedzie na poligon

Z życia obozów

TAJEMNICE POLIGONU I "RĘKAWA"

Wielkie tajemnicze słowo, ten poligon. Już w Polsce było otoczone bogactwem tradycji, nadzieją i... strachem. Na poligonie działały się przeważnie rzeczy okropne i czasem, czasem tylko szczęście spływało na baterię, dowódcę, zjawiała się beczka piwa i wszyscy chodzili bardzo naładowani. To było wtedy, gdy zleciał Rękaw.

Rękaw to znowu cała masa wspomnień i westchnień. Do tego kawałka jedwabiu rozciągniętego na obręczach modliły się nieomal pokolenia kanonierów, o jego nieuchwytności rozmawiali w zaufaniu starzy, otrząskani podoficerowie, a oficerowie robili zakłady. Co tu dużo mówić — rękaw to była legenda. Poza tym bestia kapryśna — potrafił nagle zmienić wysokość ominąć rozpryski najlepiej wykształconej baterii a wpakować się lekko i leniwie w czarne kłębki wybuchów najgorszej obsługi. Gdy spadał, czynił to po dłuższym namyśle, dość sprawiedliwie nawet podarty strzępek, witany w swym kuziemnym locie błyszczącymi oczami i od radości jasnymi twarzami.

Poligon odbywał się zawsze w czerwcu pod koniec rocznego wyszkolenia. Na suchym piasku, wśród kępek nędznych krzaków stawały swe działa wszystkie polskie dywizyjony i przez dwa tygodnie walczyły w turnieju długie, zielone lufy dział, sadząc grzybki ciemnego dymu na czerwonym poleskim niebie. Pamiętam poligon ostatni. P-11 ciągnął rękaw na sześciu kilometrach — rękaw był mały, malutki, zniknął co chwila w rozredzanym powietrzu, biała plamka w błękitcie.

PRÓBA WRZESNIOWA

A potem zaczęła się wojna. Niebo roilo się od celów, tym razem prawdziwych, szły trójkami pewnie, spokojnie, dokładnie. Artyleria robiła co mogła, siała swe rozpryski pomiędzy śliczne sylwetki powietrznych morderców, rozsławała je, zrzucała nawet czasem pięknym, precyzyjnym obłoczkiem wybuchu, ale samoloty leciały dalej, wychodziły z zasięgu a potem nie było już nowej baterii, która by objęła pracę i gnała je dalej, celnie, bezlitośnie. Dział było tragicznie mało.

I lotnictwo królowało, dywizyjony latały zwartymi stadami, bombardowanie było celowe i skuteczne. Od pierwszego do ostatniego dnia trzaskaly salwy baterii, ślizgały się lufy miarowym odrzutem, otwierało się coraz nowe skrzynie i coraz nowe żółte granaty rwały w górę. Lotnictwo jednak wygrało. Kanonierzy robili sobie swoje działa, wrzucali do rzek i nieliczne wywieźli z kraju.

NA DROGACH DO NOWEGO POLIGONU

Kanonierzy byli rozrzucony po świecie i ze zdziwieniem oglądali samoloty rumuńskie, węgierskie i jugosłowiańskie. Nie zrzucały bomb, nikt do nich nie strzelał i warczały sobie jakoś przyjaźnie i dobrotnie. To było naprawdę dziwne. Pomyśleć, że tam to czy dwoście kilometrów dalej inne samoloty obracały miasta w perzynę i krzewiły religię bezradności i strachu.

Zaczęli tęsknić do tamtych samolotów. Gdy byli już we Francji i mogli je oglądać tylko w sylwetkach — długie krople "He 111," kijki "Dornierów" i drapieżne linie "Junkersów" — myśleli, że chyba przyjdzie ich godzina. Przy paru starych działach francuskich ładowali, ćwiczyli, wylizali nowe sposoby strzelania. Na próżno. Gdy tamci przylecieli, nie było można strzelać. Działa odebrali Francuzi, podpisany był już *armistice* i zostawało tylko jechać z Anglikami.

"PIECHOTA PRZECIWOLOTNICZA"

Może będą oni mieli działa. Anglicy dział mieli bardzo mało. Dobre były, duże i solidne, ale mało. Coś tak jak u nas. Wobec tego musieli sobie przypomnieć karabin, kopali dołki w piasku, jakiegoś umocnienia, bagnet na broń, placówki. Z wielkim niesmakiem zrobita się z przeciwlotniczej — piechota.

Trwało to bardzo długo. O wiele

za długo ich zdaniem. Czasem udało się kilku wyjechać na kursy, byli tacy szczęśliwcy, którzy strzelali z Anglikami w *Battle of Britain*, ale to garstka tylko. Po przyjeździe opowiadali. Działa się na ogół podobały, reflektory nie bardzo, poza tym było coś nowego i tajemniczego a co dopiero potem wykłuło się jako radiolokacja. Na razie była to jakowaś budka na kurzej stopce, która zawsze wiedziała skąd nadleci "Jerry."

Wiele było niedowierzania i cała masa krążyła kawałków. Bo po raz pierwszy technika radiowa wpełznąła się tak beczelnie do artylerii. Strzelać radiem? Trochę to wszystko wyglądało podejrzanie. Ze strzelaniem wiązało się zawsze pojęcie lufy, pocisku, ostatecznie przelicznik cykał i liczył, ale delikatne lampy radiowe — toż to zaraz pęknie, a pył się rozleci. Ale do tego też się trzeba było przyzwyczaić, chociaż Bogiem a prawdą szło to niekiedy niesporo.

Tymczasem tłukło się dalej piechotę. Uzbrojenie poprawiało się stale, przychodziły *Tommy-guns*, moździerz, żołnierze traktowali to jakby poważną zabawę, coś w rodzaju bału maskowego. Niby, oczywiście służba, ale to nie ich fach. Oficer od zająć zalał rękę. "Nigdy piechotą nie będziecie." Bo też nikt być nie myślał.

Aż pewnego dnia jesiennego fałszywa piechota zajęła sobie mały lasek i rozbiła tam namioty. Lasek był marny, od deszczu wcale nie zastaniał, lała się woda po przegiętych, mizernych konarach, zmiękczała gliniasta ziemia i robiła z niej tłuste, klejące się ciasto. Niedaleko stała angielska bateria przeciwlotnicza, działa zakryte siatką, małe zielone baraki, betonowa drożka i napis: "Wstęp wzbroniony." I tak jakoś, przez grzeczność gospodarzy, bateria zaczęła chodzić do tych dział.

WRZESNIE... POLIGON

Najpierw nieśmiało, słuchali tylko, potem okazało się, że nie ma działa i nie ma przelicznika, którego nie można było by pokręcić, uruchomić i w sprawną zamienić maszynę. Anglicy /Szkoci właściwie/ patrzyli na to wszystko przy-

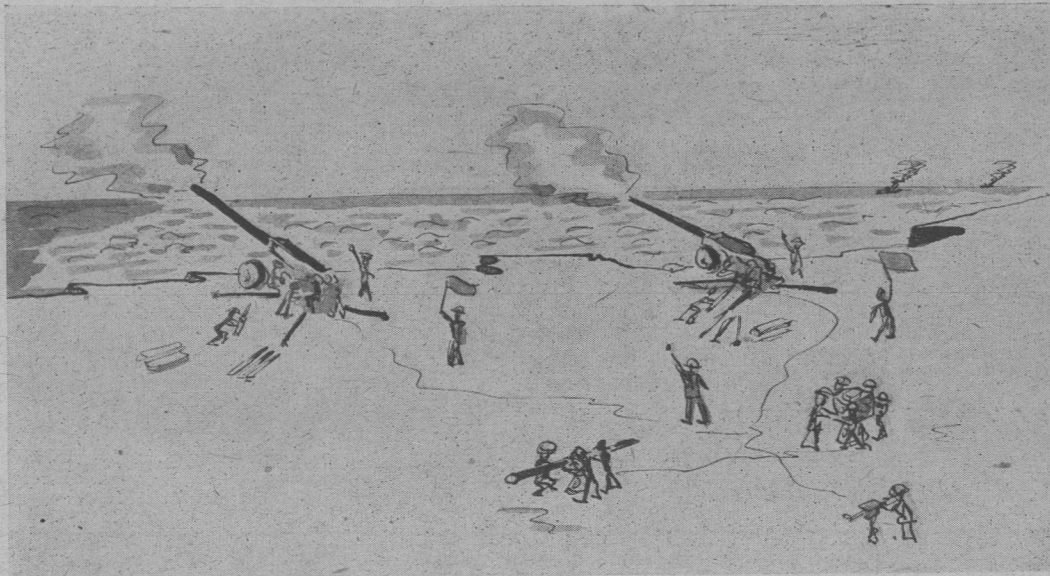
jaźnie, ale z lekka w protekcyjny sposób. Wyczuwało się opinię: "Bawcie się, bawcie — zobaczymy co z tego wyjdzie." W końcu wyproszono poligon. Ze myślny już wyszkoleni, że dalsze ćwiczenie to tylko strata czasu i t.d. Naprawdę to dużo jeszcze brakowało, ale nazywało się — bateria gotowa.

Poligon przywitał nas deszczem — oliwiane niebo, strugi wody i wiatr, wiejący jakby ze wszystkich stron, wnikliwy, przejmujący. Półwysep, otoczony grzywami fal, po których wiatr przerzucał welony piany i roznosił bryzgi po obozie. Przeraził wile wilgotno. Dopiero po paru dniach zrobiło się możliwie, chociaż dalej gnały jeszcze po niebie poszarpane chmury. Przyleciał samolot. Był szybki, podobno budowany jako nurkowiec, skończył swą karierę w kieraciu poligonu. Rękaw był inny, niż w Polsce, biało-czerwony i nie rękaw, ale szmata wyciągnięta na kijku jak sztandar. Ale nazywa się rękaw, żeby nawet do rękawa nic a nic nie był podobny. Tradycja.

"CEL — RĘKAW"

Więc też trzeciego dnia krzyk okropny: "Cel — rękaw za samolotem." Anglicy załamali ręce. Dla przedwojennych jeszcze instruktorów najmniejsze odstępstwo od drillu, czegoś nienaruszalnego, było straszne. A tu — świat się wali. Wszystko odwrótnie. Ruch przy działach, ale zabiegają nie od tej strony, nie tą ręką.

— *Stop, please STOP!*
Wysłuchali ze skruszonymi mianami, kiwali głowami pracowicie, świetnie rozumieją, oczywiście, *Okej.* W porządku, strzelamy. Na razie spokój, dużo nieznanomych słów. Instruktorzy słuchają: luneta widzi, dalmierz widzi, pierwsza wysokość — spokojnie. Ale potem już szybciej — położenie zgrane, przelicznik ustalony. I bardzo szybko — seria, zapalnik 13. Teraz już nie można zatrzymać. Regulamin leży w gruzach, zapalniki idą jeden za drugim, ognia! pal! i znowu ognia! Ledwo coś słychać. Działa walą zawzięcie, buczy już w uszach a ciągle tylko ognia! ognia! i ognia! Dopiero opadła czerwona chorągiew



rys. Jędrzej Lipiński

"Safety Officer'a." Długi gwizdek — cisza.

Główny Instruktor odetchnął. Zbiórka. I łagodnie jak do dzieci. Ze źle. Właściwie wszystko źle. Ale mówił to bez przekonania, jakoś nieśmiało. Bo strzelanie było dobre. I chociaż można było wszystko nieomal powiedzieć, to nic nie mógł powiedzieć na ten dziwny, radosny zapach, który ogarnął wszystkich kiedy gonili, ładowali, i te: Ognia! Ognia! Ognia! — były zbyt pełne determinacji, aby można było z czystym sumieniem powiedzieć, że strzelają źle. Tym bardziej, że strzelali dobrze. Bliższe strzały, skupione, dobre.

Na drugi dzień było jeszcze lepiej. Przynajmniej już łapią prawdziwość. Chcieli im zrobić przyjemność. Niech mają. Ale znowu to dziwne rozgrzewanie się baterii przy strzelaniu, to niespotykane naładowanie atmosfery nienawścią. Oni są naprawdę wściekli na ten rękaw, twarze mają czerwone z zacięcia, oczy złe i wtedy nie już nie słuchają. Ognia! Ognia! Ognia!

PRZESZŁOŚĆ WRACA

Ale Główny Instruktor nie wiedział, że ten rękaw to symbol. To nie kawałek jedwabiu tam leciał, prosto i szybko między chmurami. To była cała ich przeszłość, trzy lata bogate w zdarzenia, pełne oczekiwań, napięcia, nadziei. Oni nie strzelali do RĘKAWA, strzelali jakby do wszystkich samolotów skupionych w jedno, strzelali właściwie do fikcji, do czegoś nieuchwytnego. I to, że strzelali znaczyło, iż będą strzelali, iż będą mogli coś zrobić. Namiaszka może, ale to już była akcja.

Jest jakaś nić wiążąca słowa. Te same słowa krzyżane najpierw w czerwcu każdego roku a potem wyschniętym gardłem we wrześniu, to samo położenie zgrane, przelicznik ustalony, wracały całą przeszłość, wywalały ją silniej niż wszystkie pogadanki, wspomnienia. Były same przeszłością, przenosiły ją na ten ochlapany falami, skalisty brzeg Szkocji.

Pierwszy zrzucony rękaw przyleciał wybuchami szalonej radości. Czekali na następny, niecierpliwili

się co ten pilot robi, pewno poleciał na *tea*. Drugiego dnia poszły wdół dwa następne rękawy, strzelanie szło coraz lepiej, instruktorzy wybaczyli zły regulamin, dowolności obsługi. Podobało się. Dostali działa.

Dziś jesteśmy znowu na poligonie. Inaczej jest tym razem. Obóz jest ten sam, wierzyć się nie chce, że rok upłynął. Tu jest wszystko tak samo. I tak samo leje. Ciągłe, ustawicznie. Przywitani nas jak starych przyjaciół, przypominali sobie, krztusili się, prychnali, ale dopięli swego.

— "What was it?" OGNYA, OGNYA, ZAPALLNIK."

Pamiętali. Przygód też było trochę. Przeszliśmy na nowy sposób ładowania. Ręcznie. Dawniej wpychało się nabój ciągnąc sznurkiem. Teraz idzie to szybciej. Ale ładowanie jest niebezpieczne. Jeden uciął sobie nawet palec, co prawda nie przy ładowaniu, ale w każdym razie w operacji z zamkiem. Otdąd każdy uważał podwójnie i ładowanie kulą.

KARIERA ZDZISIA

Tu wchodzi na arenę Zdzisio. Zdzisio był zawsze kopciszkiem baterii. Używali sobie na nim wszystkie ile wlezie, bo nigdy się nie odszczekiwał, zawsze poza tym niedosłyszał, przeważnie był ostatni a wiadomo, że ostatni zawsze zbiera burzę. Myślał sobie zawsze powolotku a od czasu do czasu wypowiadał mądre zdania, które potem tygodniami krążyły po baterii. Nazywano go Zdzisio Filozof, albo lepiej jeszcze... Sokrates, przy czym przymiotnik nie był bynajmniej dla Sokratesa pochlebny. I samo to, że Zdzisio ma coś z jakimś Sokratesem wspólnego, było jeszcze lepszą dla całej baterii zabawą.

Trwało to wszystko do tego ucięcia palca. Kiedy w działonach zaczęło ładowanie szwankowo, najdziwsze pomysły mogły wpaść do głowy zropczonemu działonowemu. Wybrał Zdzisio na ładowniczego. I tu zaczęła się Zdzisiowa kariera. Już na następnym strzelaniu okazało się że jedno dział strzela szybciej. Prawie dwa razy tyle pocisków na jednym przelocie. Zawołano działonowego. Kto ładuje. Zdzisio? Nikt nie chciał wierzyć. Niemożliwe.

Ale to była prawda. Dział waliło mu nad uchem, olbrzymi blok zamkowy przelatywał tuż koło Zdzisiowej głowy, a on spokojnie, bez nerwów, ładował do dymiącego brzucha armaty nowy granat, odkakiwał, odpalał. Gdy jego dział nadal oddawało po dziesięć strzałów, a inne ledwo wydoliły sześć — bateria uznała Zdzisio. Jest teraz benjaminkiem. Każdy działonowy, jak dawniej się broi, tak teraz chce go mieć. On nie zwraca na nich uwagi. Ładuje, uchyla rękę przed rozpożdżonym zamkiem, odbiega, odpala i spokojnym uchylem unika masy metalu lecącej na niego w odrzucie. Jest niedościęgnięty.

DOBRY DZIEŃ

Wszystko idzie spokojnie w tym roku. Wczoraj było całkiem ładnie. Przyjechał generał, jakiś ważny, bo pełno było mniejszych szyszek koło niego. Strzelanie było właśnie nie najlepsze, jedno dział stało się rozpoziomowywało i sadziło swoje pociski grubo za nisko. Ale jak tylko generał odjechał było od razu inaczej.

Strzelano z nastawnicą a potem nastawnica się rozregulowała, małe zamieszanie, zapalniki nastawiane kluczem, ostatnia seria, bardzo długi zapalnik i nikt jakoś nie zauważył, że rękaw sobie leci już prosto wdół. Było to pod słońce. Zobaczyli go dopiero wtedy jak już dolatywał do wody. Chlupnął sobie jeszcze i zniknął.

Zadowoleni czekali na następny. Leciał dość wysoko, wszedł w zasięg, sekcja widzi, Zapalnik, ognia. Ładowali już drugie pociski, ale już nie było po co. Otoczone rozpryskami rękaw zachwiał się a po tym spokojnie dał nurka i szorował do morza. Dwa rękawy. To się nazywa dobry dzień.

Dzisiaj znowu jest słicznie. Rękaw idzie w rozslonecznionym błękitcie, mały, wyraźny, bateria łapie równymi, celnymi salwami. Łapia go na nowym przelocie.

Ich Poetyckie Wysokoście...

Tytuły nie są dziś modne. Jednak, że to wielkość serc i szlachetność umysłów nie przyniosą w hierarchii wojskowej żadnych stopni, niech mi będzie wolno tak zatytułować publiczne wystąpienie sześciu poetów żołnierzy. W drugim z kolei wieczorze PEN Clubu w dniu 11 lutego, b.r. uczestniczyli: Bogumił Andrzejewski, Ryszard Kiersnowski, Józef Miłobędzki, Paweł Moskwa, Jan Rostworowski i Halina Terlecka. Zagajął Antoni Bogusławski, słowo wstępne powiedział Tymon Terlecki. Wieczór był dowodem, że niekonięcznie wszystko na tej emigracji dzieje się pod znakiem dążeń poziomych i szczebli sztucznych. Jak to powiedział Tymon Terlecki — natchnienie pozostało czynnikiem decydującym w walce o byt narodowy. I pozostanie, na przekór manekinom. Na szczęście — żywych i czujających jest i będzie zawsze więcej. To właśnie uratuje Polskę.

Szkoda, że tak niewielu polskich obrońców Londynu udało się na ten mały Parnas młodzieży poetyckiej. Tyle się mówi — i tyle mówi nie trafnie — jaka będzie ta nasza przyszła Polska. A tu przecież jest odpowiedź, bynajmniej nie połowiczna nawet. W ujęciach poetyckich Andrzejewskiego i Kiersnowskiego, w przejęciach sowieckich Terleckiej, w powietrznych i morskich kursach Miłobędzkiego i Moskwy... A gadulstwo poetyckie — w najlepszym sensie tego "gadulstwa" — u Rostworowskiego — toż w tym jest cały nasz program kulturalny! Będzie komu prowadzić myśli i dążeń. Wieczór PEN Clubu dał mi może najpiękniejsze wrażenia z całego naszego dorobku w Anglii. Pod względem formy wszystkim, co nam odczytano, stało na dużym poziomie. Cechą wszystkich poetów była głęboka szczerść, wyrażona w bardzo czystych liniach. Były

wiersze znane i nowe. Były nazwiska już głośne i dopiero wpływające na zdaleka idącą falę natchnienia. Ale całość — szlachetna treścią i formą.

Dlaczego zatem takie ożywe wieczory nie miałyby się odbywać w oddziałach i jednostkach? Niech — prócz świetnej "Lwowskiej Fali" — oraz innych czołówek — także i młodzi poeci choć raz wyjadą do centrów, dookoła których jest wiele polskich oddziałów. Wystarczy trzy lub cztery takie występy, aby napoić żołnierzy treścią, której właściwie każdy z nas taknie, jak chleba. Polakowi trzeba poezji, a żołnierzowi polskiemu dziś — wiele dobrej i żywej poezji. Na odtrutkę. Na siłę.

Ich poetyckie a żołnierskie moście mają tej naszej witaminy "P" wiele do rozdania.

WOJŁ

JĘDRZEJ LIPIŃSKI

Dear Sir,
Will you find enclosed the sum of £43.0.9 for the relief of Polish children in Russia. We received this gift from the following stations during our performance of "Polish Panorama":

1.8.II. R.A.F. No.	£5.17.1
2.10.II. R.A.F. Ea.	£3.19.4
3.11.II. A.	£6.11.1
4.12.II. A.	£6.14.6
5.13.II. A.	£7.12.4
6.14.II. F.	£8. 6.2
7.15.II. B.	£4. 0.3

Total £43. 0.9
Polish Forces Theatre
"Lwowska Fala"

Kochany Redaktorze,
Przesyłamy w załączeniu kwotę £43.0.9 zebraną z okazji przedstawień "Polish Panorama" na pomoc dla dzieci polskich w Rosji. Prosimy o przekazanie gorących podziękowań Dywizjonowi Myśliwskim: Toruńskiemu, Krakowskiemu i Deblinowskiemu, oraz Oficerom i Szeregowym podległym pancernym w A... i F... za pomoc w zbiorce i ofiarność na ten doniosły cel.

Czołówka Teatralna
"Lwowska Fala"

Enclosed please find Money Order for £8.0.0 kindly given through Mr. Cameron, Hon. Treasurer, by the Abernethy Sub-branch of the Scottish Polish Society, to the Polish Red Cross for the Aid to Poles in Russia. Senior Education Officer Polish Forces P/90

Enclosed please find £3 kindly given by Mr. and Mrs. James Baird, 11, David Street, Kirkcaldy, to the Polish Red Cross for the Aid to Poles in Russia.

Kpt. J.M.

Pluton szturmowy 2. Batalionu

Pomoc dla Polaków w Rosji: £7,609

Strzelców przesyła "Money Order" na kwotę £20.0.0 /słownie dwadzieścia £/ z przeznaczeniem na pomoc Polakom w Rosji—jako dochód z urzędzonej zabawy.

Dowódca kompanii
/por. A.P./

Przy niniejszym Świetlica Kwatery Głównej I. Dyw. Panc. przekazuje £5.0.0 /pięć/ z zabawy na Pomoc Polakom w Rosji, z prośbą o wzmiankę w "Polsce Walczącej".

Z poważaniem
Alicja Śl., świetliczarka

Szan. Redakcja "Polski Walczącej".
Pragnę za pośrednictwem Redakcji złożyć serdeczne podziękowania Czołwce Lotniczej za przedstawienie odegrane u nas 3.1.43.

Gdy będą mieć jakiegokolwiek trudności w urządzaniu podobnych przedstawień, lub nawet będą czuć zmęczenie lub zniechęcenie, niech pamiętają o wpływie jaki mają na nas wszystkich. Rezultat ich trudów jest duży i wielu z nas czuje wdzięczność za to co od nich otrzymujemy. Poniżej podaję zbiórki nie miałem możliwości wziąć w niej udziału, więc

obecnie załączam P.O. na sz.10 na cel pomocy Polakom w Rosji.

Z poważaniem

R.W.

Przesyłam sz.10 /słownie sz. dziesięć/ na pomoc dla Polaków w Rosji zamiast "drinka" dla kolegów z okazji imienin.

Z wysokim poważaniem

Romuald Brzeziński

Szanowny Panie Redaktorze,

Z okazji imienin p. ppłk. Aleksan-

dra J. b. D-cy 20 pp. w Z.S.R.R. — dołączony M.O. na £18.10.0 — z przeznaczeniem dla dzieci i sierot w Rosji — przesyła

Grono Oficerów b. 20. pp.

N.N. na pomoc Polakom w Rosji sh.2 d.1ł.

Łączną sumę zbiórki w dzisiejszym numerze £99.2.10ł /słownie dziewięćdziesiąt dziewięć funtów, dwa szylingi, dziesięć i pół pensa/ przekazyaliśmy Polskiemu Czerwonemu Krzyżowi.

Suma powyższa podnosi ogólną sumę zebraną dotychczas na ten cel za pośrednictwem "Polski Walczącej" do £7,609.8.4 /słownie siedem tysięcy sześćset dziewięć funtów, osiem szylingów i cztery pence/, 108 pesetów hiszpańskich, 28 dolarów kanadyjskich, 4 dolary amerykańskie i 15 czerwieńców.

DLA JUNAKÓW

Szanowna Redakcja,
Na ręce Szanownej Redakcji przesyłam 30 szylingów z prośbą, aby Redakcja 10 szylingów przeznaczyła na rzecz pomocy Polakom w Z.S.R.R. 10 szylingów na pomoc naszym jeńcom będącym w niewoli w Niemczech, oraz 10 szylingów na rzecz pomocy naukowych naszym Junakom na Bliskim Wschodzie.

Łącząc wyrazy szczerzej sympatii i szacunku dla "Polski Walczącej" kończę.

J.G.

NA JEŃCÓW POLSKICH W NIEMCZECH

Panie Redaktorze,
W załączeniu przesyłam kwotę 10 szylingów na jeńców w Niemczech.

strz. P.M.

Zbiórka książek dla żołnierzy polskich na Wschodzie

Szanowny Panie Redaktorze,
W związku z art. "Ocalone ziarna," druk w "Polsce Walczącej" przesyłam 25 książek polskich i angielskich dla Junaków przebywających przy naszej Armii na Środkowym Wschodzie.

Ekspozytura Wydz. Prac Kult.
Ośw. M.O.N. w Edynburgu

Załączam: St. Wyspiański: "Wesele." — "Nowa Polska." — J. A. Teslar: "Angielsko-Polska książka dla żołnierza." — Zofia Kossak-Szczucka: "Skarb śląski." — Roman Górecki: "Z moich wspomnień o Józefie Piłsudskim." — "12 maja 1935." — Antoni Błoński: "Wracamy nad Odrę." — "Obrona Warszawy." — Wilfrid Thorley: "A Primer of English for foreign students." — "The poems of Robert Browning, 1842-1864." — T. W. MacCallum, M.A.: "Nauka angielskiego szybko, łatwo i przyjemnie." — "Readers Digest," October, 1941, January,

1942, February, 1942, September, 1942, August, 1942." — "The English Digest," September, 1942. — C. K. Ogden: "Basic step by step." — C. K. Ogden: "The basic way to English" /część 1, 3 i 4-ta/. — Oliver Goldsmith: "The Vicar of Wakefield." — A. J. Cronin: "The Citadel." — J. G. Hides: "Papuan Wonderland." — Antonia White: "B.B.C. at War."

P. J. Walter przesłał dla żołnierzy polskich na Wschodzie:

Ewa Curie: "Maria Curie." — Bolesław Wdąły: "Niemcy w Polsce" /2 egz./ — Adam Mickiewicz: "Księgi Narodu Polskiego i Pięćdziesiątka Polskiego." — Stanisław Wyspiański: "Wesele." — Tadeusz Kiełpiński: "Ku jakiej Polsce idziemy." — Stanisław Kato: "Prawdziwe oblicze hitleryzmu." — Stanisław Mackiewicz: "Historia Polski 1918-1939." — Stanisław Ordon: "Łuna nad Warszawą."

Szanowny Panie Redaktorze,
Na apel P. Stefana Żurowskiego, wystosowany za pośrednictwem Redakcji "Polski Walczącej" przesyłam w załączeniu następujące książki przeznaczone dla żołnierzy polskich na Środkim Wschodzie:

"Historia Polski" — W. Sobieskiego, "Niemcy w Polsce" — B. Wdąły, "Walka Narodu Polskiego o byt" — St. Szczepanowski, oraz 2 egz. mojej książki p.t. "Wracamy nad Odrę"

Z żołnierskim pozdrowieniem

Antoni Błoński

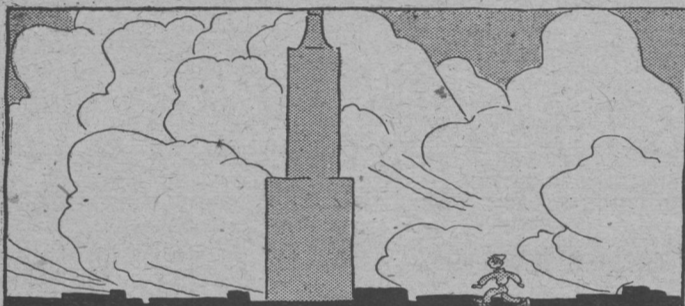
Bezimiennie:

"Nowa Polska." — Tygodnik "Co słychać" 3 egz. — T. W. MacCallum, M.A.: "Nauka angielskiego szybko, łatwo i przyjemnie" 2 egz. — Stanisław Ordon: "Łuna nad Warszawą." — F.S.: "Między Marną i Loarą." — "Bomber Command Continues."

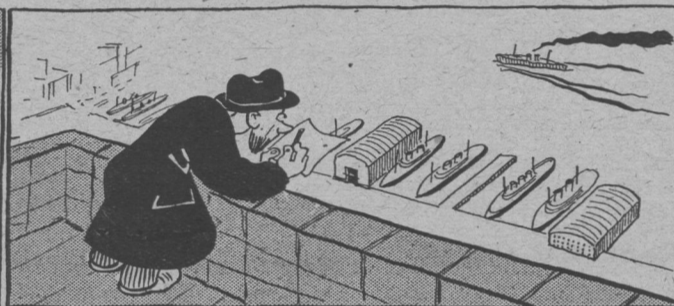
PRZYGODY WALENTEGO POMPKI

Tekst: RYSZARD POBÓG

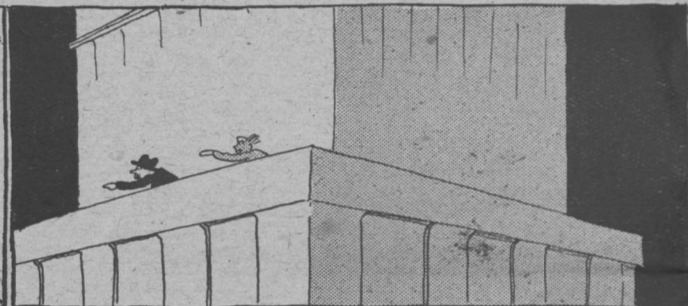
Rysunki: MARIAN WALENTYNOWICZ



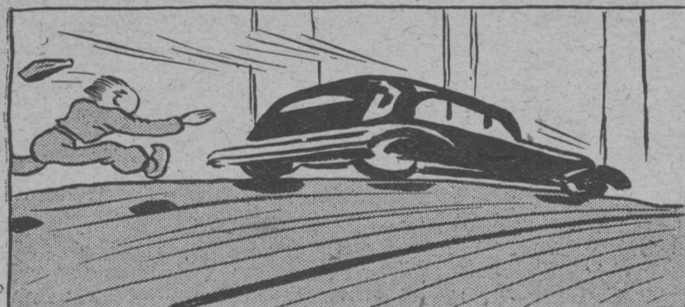
Każdy dobry turysta, Zwiedzić musi w New Yorku Nie oferma lub frajer, Stupiętrowy "Empire."



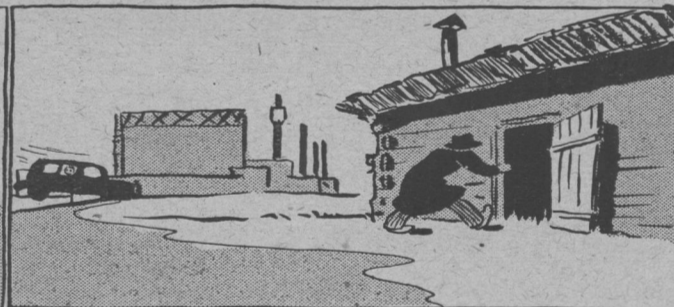
Gdy /Walkowi troszeczkę Spozrzegli obok faceta, Zakreśliła się głowa, Który statki notował.



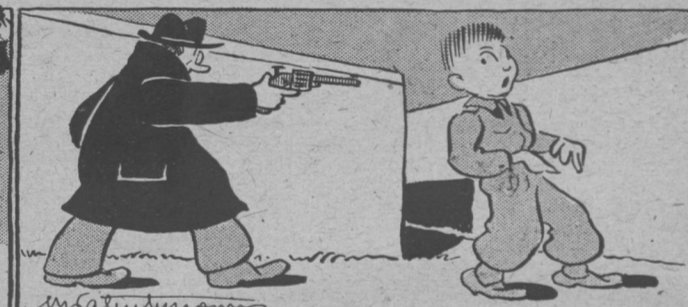
Pan jest szpiegiem—rzekł Pompka— Nie udawaj pan Greka! Wówczas dziwny jegomość Zaczął szybko uciekać.



Przez tłum ludzi pędzili, Jedną winę rozbili, Przedzierali się gwałtem, W kołnierz faceta zwał autem.



/Bo był dzielnym żołnierzem/ Lecz za miastem szpieg zginął, Waluś za nim, taksówką W jakiejś ciemnej ruderze.



Szukał Pompka go długo, Aż usłyszał za sobą: Łaził przez płoty i mury, Podnieś ręce do góry...!

KTOKOLWIEK z zainteresowanych Polaków życzyłby sobie NOWY TESTAMENT lub EWANGELIE SW. JANA w języku POLSKIM proszę się zwrócić pisemnie do Pana S.K. Hine, 110, Christchurch Road, London, S.W.2.

Registratory biurowe. Kalamarze. Powielacze "Plex." Papier do powielania. Notatniki. Papier do nut. Koperty. Przybory biurowe. MACFARLANE & DICKSON, 25, Castle Street, Edinburgh.

SPIS RZECZY:
Halina Terlecka: Kobieta w walce. — Janina Wojciechowska: Przynsiwymy "Polandy" do "battle-dress'ów." — Zbigniew Grabowski: Szkie sytuacyjny. — Z tygodnia na tydzień. — Julian Ginsbert: Wojna na morzu. — Cezary Ościński: Z Generałem do Ameryki: II. W sercu 48 krajów. — Jan Kos: Kaźń na Montelupich. — Wacław Sikorski: Żołnierska ekipa dziennikarska /Korespondencja własna "Polski Walczącej"/. — Wiktor Budziński: Bez black-outu. — Z życia obozów: Jędrzej Lipiński: Ack Ack jedzie na poligon /z rysunkiem autora/. — Wójt. Ich poetyckie Wysokości. — Poszukiwania. — Pomoc dla Polaków w Rosji. — Zbiórka książek dla żołnierzy na Wschodzie. — Ryszard Pobóg: Przygody Walentego Pompki /rysunki Mariana Walentynowicza/. — Fotografie.

MUNDURY

oraz wszelki
EKWIPUNEK
dla PP. Oficerów Armii
Polskiej
Najlepszy gatunek
ceny niskie

Wm. ANDERSON
AND SONS, LTD.
14-16, George St., Edinburgh
Filie:
Glasgow, 155, Hope Street.
Dunbar, c/o Daniel Smith,
52, High Street.

LITESOME

PASY PODTRZYMUJĄCE zmniejszają wysiłek fizyczny Przynoszą mężczyznom bez względu na wiek dużą ulgę. Wygodne w noszeniu. Model Mayfair 15/2. De Luxe 6/10. Poradź się krawca, aptekarza, w sklepie sportowym, lub też przesyłaj przekaz poczt. z podaniem miary w pasie do FRED HURTLEY, LTD., Box 155, Victoria Park Mills, Keighley.

ESPLANADE HOTEL

2, WARRINGTON CRESCENT,
London, W.9. Tel.: GUN 1052.
We wszystkich pokojach bieżąca ciepła i zimna woda oraz telefon. Centralne ogrzewanie. Mówi się po polsku. Doskonała kuchnia polskorosyjska.

ZDROWIE i SIŁA!

Zdrowe ciało i nerwy są podstawą aby móc sprostać wszelkim wysiłkom, zmęczeniu i niebezpieczeństwom dzisiejszych dni. Słabość i przemęczenie wywołują przynębnienie. Siły umysłowe i fizyczne zależą od posiadania w organizmie dostatecznej ilości zasadniczych witamin, głównie witamin grupy B, których zawiera najwięcej naturalny środek Yeast. Yestamin jest czystą witaminą Yeast, który nie jest lekarstwem lecz tylko silnym środkiem odżywcym. Wzmacniając organizm, podtrzymuje ciało i umysł oraz uodparnia je przeciw chorobom. Yestamin nie jest żadnym środkiem cudotwórczym, ale używając go regularnie przez miesiąc przy jedzeniu, odczuje się jego dodatnie działanie.

Do nabycia we wszystkich aptekach.
YESTAMIN
100 szt. za 1/3 300 szt. za 3/3

Wolny od jakichkolwiek leków
THE ENGLISH GRAINS CO. LTD. :: BURTON-ON-TRENT

REUMATYZM

Lumbago, zapalenie nerwów itp. które powodują bezsenne noce oraz cierpienia w ciągu dnia wskazują na to, że organizm nie jest w stanie zwalczyć samodzielnie nadmiaru kwasów moczowych. Od przeszło 30-tu lat, Urillac dowiódł że jest najlepszym środkiem przeciwko podobnym dolegliwościom.

TABLETKI
URILLAC

Do nabycia we wszystkich aptekach w cenie: po 1/5, 3/4 i 5/7d. (łącznie z podatkiem)

WYDAJE WYDZIAŁ PRAC KULTURALNO-OŚWIATOWYCH MIN. OBR. NAROD. Adres Redakcji (Editorial Office): 5, Portugal St., W.C.2. Tel., HOLborn 7600. I-e piętro. Redaktor przyjmuje w poniedziałki i wtorki od godziny 11-ej-13-ej. Redakcja nie zwraca rękopisów niezakwalifikowanych do druku.

Warunki prenumeraty: Miesięcznie z przesyłką pocztową—sh.1. Kwartalnie z przesyłką pocztową—sh.3. Należność prosimy wpłacać przekazem pocztowym (Postal Order) pod adresem Administracji. Ceny ogłoszeń: 1 cal przez jeden łam—sh. 20. Zarezerwowane miejsce 50% drożej. Ogłoszenia o poszukiwaniu pracy—2sh. za wiersz. Adres Administracji (Business Office): 63, Lincoln's Inn Fields, W.C.2. Tel., Chancery 5505

Printed for "Polska Walcząca" by St. Clements Press, Ltd., Portugal St., Kingsway, W.C.2. Registered at the G.P.O. as a newspaper.